



LISTY Z KOLONII

STR. 10

MACKI

STR. 10

ADMINISTRACJI



KONIEC SEZONU

STR. 4

STR. 8



ORŁY I SOKOŁY

ODCŁOSY



ROK XVIII NR 29 (919)

17 LIPCA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Zbliża się XXXI rocznica ogłoszenia Manifestu PKWN, wielkiego aktu historycznego, który legł u podstaw nowej państwowości polskiej. Znamy nam doskonale jego treść i konsekwencje ich realizacji. Stosunkowo natomiast mało wiemy o tym czasie i tej gigantycznej pracy, która poprzedziła i umożliwiła jego ogłoszenie. Z tych też względów w felietonie historycznym — „Ostatnie miesiące”, opartym na materiałach opublikowanych w II tomie książki Włodzimierza T. Kowalskiego pt. „Wielka Konicja”, przypomniemy tamten okres, gdy toczyły się wielkie idee Manifestu.

Dzięki wspaniałej edycji Krajowej Agencji Wydawniczej, która zebrała i udostępniła w formie reprodukcji wszystkie podstawowe dokumenty i publikacje tamtego okresu, możemy również zaprezentować Czytelnikom ich oryginalną szatę graficzną.

Są dwa wydarzenia, którym towarzyszy atmosfera napięcia i oczekiwania. Oczywiście skierowane są na Genuę, gdzie Komitet Organizacyjny KBWE usiłuje znaleźć kompromisowe rozwiązanie umożliwiające ustalenie daty europejskiego szczytu w Helsinkach. Mamy nadzieję, że w chwili gdy numer ten dotrze do rąk Czytelnika, termin zostanie już ustalony. Będziemy wtedy także po pierwszym „kosmicznym spotkaniu na szczycie”. Oczywiście prace przygotowawcze do spotkania i wspólnego lotu „Sojuz” i „Apollo” przyciły nieco inne wydarzenia kosmiczne i dlatego długotrwały lot radzieckiej stacji orbitalnej „Salut-4” odsunięty został troszkę w cień. Jak ważny jednak był to krok, konieczny i niezbędny na dalszej drodze opanowania kosmosu, pisze Lucjusz Włodkowski w artykule „Czwarty Salut”.

Na ziemi — w dosłownym tego słowa znaczeniu, sprowadza nas w reportażu „Narodziny kolosa” Krzysztof Pogorzałek. Istotnie, zanim bowiem powstanie gigant polskiej metalurgii — Huta „Katowice”, trzeba uporać się z ziemią — wywieźć i przerzucić jej miliony metrów kubicznych, „wybebeszyć ją na nice” — jak pisze autor. A jako to praca, i co nam przyniesie? — zainteresowanych odsyłamy do tego niezwykle ciekawego reportażu.

Reporterskie tropy Ryszarda Binkowskiego prowadzą dziś do przastarego Trybunańskiego Grodu — obecnie stolicy nowego województwa — Piotrkowa. Rodzajowe obrazy, troszkę danych faktycznych, tudzież refleksje autorskie, kreśla ramy i kolorystykę obrazu tego miasta i jego mieszkańców, którzy chcą mu przywrócić jego dawną świetność blasku.

Z dziedziny literatury proponujemy miłośnikom prozy wycinek przygotowanej do druku powieści Wiesława Łaźnińskiego, zatytułowanej „Koniec sezonu”, a także fragment opowiadania Andrzeja Makowieckiego — „Słońce zaszło, zerwał się wiatr”.

REPORTAŻ

KRZYSZTOF POGORZALEC

NARODZINY KOŁOSA



— Stąd najlepiej można wszystko zobaczyć — perswaduje mi tutaj szef od tego galimatiasu — inż. Czesław Jagła, kiedy mam wątpliwości czy warto pchać się na tę wykę.

Nazywa się to ambona, ale nie ma nic z tego o czym myślicie, natomiast jest żelaznym punktem programu każdej wizyty i niejedna — nie licząc dziennikarskich — „oficjalna” figura skrabala się po tych stopniach. No i rzeczywiście — jest na co popatrzeć z tej góry, tyle że trudno się w tym wszystkim połapać! Dziesiątki jeśli nie setki kilometrów ziemnych wykopów, płatnina instalacji i ta wszechobecność maszyn uparcie wgrzających się w grunt, gdzie indziej znowu dzwigających w górę kratownice stalowej konstrukcji. Gdzie w tym wszystkim jakiś sens, nie mówiąc już o porządku?

Mój przewodnik bezbłędnie odczytuje to nieme pytanie.

— No więc tak, przeprowadźmy taki rachunek: w Nowej Hucie pierwszy wytop noszedł w 216 miesięcy od rozpoczęcia roboty. A i na harmonogram mówi: — 37 miesięcy i ani jednego więcej. 18 i te 4 z kawałkiem lat!

Później okazuje się, że i to nie jest takie całkiem pewne. Kalkulowano w różne strony, zrobiono parę dodatkowych przymiarek no i wyszło, że wszystkie zasadnicze prace można zakończyć w 33 miesiące.

— Co to praktycznie znaczy? — Licząc na okrągło 2 miliony ton stali rocznie szybciej aniżeli przewidywano.

Nasze krajowe zapotrzebowanie na stal w roku 1975 zostało oszacowane na około 19 milionów ton, natomiast produkcja całego polskiego hutnictwa jak dotychczas ledwie sięga 15,5 mln ton stali. Co to oznacza? W roku ubiegłym trzeba było sprowadzić z zagranicy około 200 tys. ton stali, a w bieżącym — 650 tys. ton. Do tego należy jeszcze doliczyć tzw. wyroby orietowane — w tym roku ten import pochłonie 2,5 miliarda złotych dewizowych. Jest to bardzo poważna kwota obciążająca gospodarkę szczególnie jeśli się zważy, iż chodzi tutaj głównie o zakupy ze strefy dolarowej.

Zanotowałem na jednym ze spotkań organizowanych co roku z okazji Dnia Hutnika: „Wielki” i „Mały” naszej gospodarki pod pozycją STAL. Do roku 1970 zestawiając produkcję z potrzebami wychodziliśmy w tej dziedzinie na zero. W zasadzie — jak to niekiedy powiadają planiści. Ale już wtedy co bardziej przewidujący przepowiadali, że nawet przy ówczesnym tempie rozwoju naszej ekonomiki, produkcji maszyn, budownictwa oraz wyrobów konsumpcyjnych wywodzących swój rodowód z szarego metalu, ten stan równowagi jest pozorny. I tak też się stało — 12 mln ton przestało szybko wystarczać. Najpierw było to 13, później 15,5, wreszcie owych 19 mln ton. Stały deficyt. Nożycy coraz bardziej się rozszerzały, a skutki tego stanu rzeczy odczuwała coraz dotkliwiej cała nasza gospodarka zarówno — jak to mówią ekonomiści — w skali „makro”, jak i pojedynczy obywatel PRL zainteresowany zakupem powiedzmy maszyny do szycia, lodówki, pralki, że nie wspomnę o samochodzie. W każdym przypadku — bez stali ani rusz.

Dalszy ciąg na str. 5

KOSMOS

LUCJUSZ

WŁODKOWSKI

CZWARTY SALUT

Wspólny lot „Apollo” i „Sojuz” wzbudził tak wielkie zainteresowanie, że całkowicie przesłonił inną z kosmicznych wypraw: długotrwały lot radzieckiej stacji orbitalnej „SALUT — 4”.

Orbitalna stacja „Salut — 4” wystrzelono 26 grudnia 1974 roku, a więc jest już ona w Kosmosie przeszło pół roku. Krąży wokół Ziemi na wysokości około 350 km. 11 stycznia 1975 roku z kosmodromu Bajkonur wystartował statek kosmiczny „Sojuz — 17” z Aleksym Gubariem i Gieorgijem Grezko na pokładzie. 12 stycznia 1975 roku nastąpiło połączenie „Sojuz — 17” z „Salutem — 4”.

Kosmonauci, po sprawdzeniu urządzeń stacji, przeszli na jej pokład, gdzie przebywali do 9 lutego 1975 r. 24 maja 1975 roku z kosmodromu Bajkonur wystartował statek kosmiczny „Sojuz — 18” który wyniósł w przestrzeń kosmiczną Piotra Klimuka i Witalija Siwastianowa — kolejną załogę stacji orbitalnej „Salut — 4”. Na pokład tej stacji przeszli oni 26 maja 1975 roku. Między 9 lutym a 26 maja stacja orbitalna „Salut — 4” kierowana była z Ziemi.

RODZINA SALUTÓW

W programach badań kosmicznych stacje orbitalne odgrywają bardzo ważną rolę. Pozwalają one na jednocześnie prowadzenie obserwacji Ziemi, górnych warstw atmosfery, przestrzeni kosmicznej i Słońca. Przede wszystkim jednak każdy pobyt załogi w stacji orbitalnej dostarcza cennych obserwacji o niej samej, o warunkach życia kosmonautów, przebiegających w Kosmosie oraz dostarcza wiele innych cennych obserwacji, wynikających z prowadzonych badań i doświadczeń.

Pierwsza radziecka stacja kosmiczna była „Salut — 1”. Wystartowała ona 19 kwietnia 1971 roku i poruszała się na orbicie okołoziemskiej w odległości około 200 km od powierzchni Ziemi. 24 kwietnia 1971 roku do „Saluta — 1” przyłączył się „Sojuz — 10”, na pokładzie którego byli: W. Szalutow, A. Jelisiejew i N. Rukawisznikow. Dokonali oni inspekcji stacji, sprawdzili przyrządy i urządzenia.

6 czerwca 1971 roku do „Saluta — 1” przyłączył się „Sojuz — 11” z G. Dobrowolskim, W. Pacajewem i W. Wołkowem na pokładzie. Na „Salucie — 1” przebywali oni do 30 czerwca 1971 roku. Między wieloma doświadczeniami.

Dalszy ciąg na str. 6

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

PRZED LIPCOWYM ŚWIĘTEM

Już za cztery dni 22 lipca — Święto Odrodzenia, do którego przygotowuje się cały kraj. Z tej okazji odbędzie się także liczne uroczystości w województwie łódzkim i w samej Łodzi. Tradycyjnym tuż zwycięstwem w dniach poprzedzających to święto, przekazane zostaną do użytku nowe obiekty produkcyjne i socjalne. W Łodzi, między innymi wmurowanie zostanie kamień węgielny pod budowę nowego osiedla mieszkaniowego Włocławek-Wschód, a także nastąpi otwarcie nowego zakładu dla Spółdzielni Inwalidów im. Byłych Więźniów Radogoszcza.

Uroczystości łódzkie rozpoczyna się w czwartek 17 lipca, złożeniem wieńców i wieńców kwiatów na grobach działaczy komunistycznych i robotniczych, przed Pomnikiem Bractwa Broni w parku im. Północnego, a także w Radogoszczu, pod Pomnikiem Czynu Rewolucyjnego.

Podczas letnich akademii, wieczornych i uroczystych koncertów i uroczystości spotykają się ze swymi ulubionymi artystami. Przewidywany jest m. in. koncert estradowy w Amfiteatrze Włocławskim. W Urzędzie Miasta Łodzi odbędzie się uroczystość dekoracji zasłużonych obywateli, odznaczonych państwowymi i Honorowymi Odznakami m. Łodzi.

UMOWA O WSPÓŁPRACĘ

Władze Uniwersytetu Łódzkiego podpisały drugą już umowę o współpracy z województwem łódzkim. Tym razem województwo skierowało do Uniwersytetu Łódzkiego nowy partnerem UL. Z jednej strony umowa przewiduje podjęcie i prowadzenie prac badawczych szczególnie interesujących władze wojewódzkie, z drugiej — pomoc techniczną, w wyposażeniu uczelni w aparaturę naukowo-badawczą, w budowę wyposażenie domów akademickich.

SZTAB DO SPRAW TRANSPORTU

Podczas narady w Urzędzie M. Łodzi, która odbyła się we wtorek, 14 bm. pod przewodnictwem prezydenta — J. Lorensa, a w której uczestniczyli naczelnicy dzielnic, miast, gmin oraz przedstawiciele przedsiębiorstw transportowych, powołano Wojewódzki Sztab do Spraw Transportu. Podczas narady omówiono szczegółowo problemy usprawnienia przewozów a także kwestie zaopatrzenia w środki transportu. Nowo powołany sztab pracować będzie aż do chwili całkowitego rozwiązania problemów transportowych na terenie województwa łódzkiego. Na jego czele stanął prezydent m. Łodzi — J. Lorens, zaś jego zastępcą został wiceprezydent — Zb. Polt. W skład sztabu weszli: przedstawiciele: KŁ, PZPR, związków zawodowych, Mielca, Obywatelskiej, PKP, PKP, PKR oraz zjednoczeń budowlanych i większych zakładów pracy.

NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ZDROWIA

Od 1973 roku łódzianie wpłacili 128 milionów złotych na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Jest to suma wcale nie mała, choć jeszcze nie taka, jakiej należałoby sobie życzyć. Tym bardziej iż fundusze te przeznaczane są na wyposażenie naszego lecznictwa. Z nich właśnie skorzysta w tym roku Ośrodek Wczesnej Rehabilitacji Kardiologicznej przy ul. Popioły. Za nie też zakupiona zostanie aparatura medyczna dla Akademii Medycznej. Z centralnych dotacji NFZO sfinansowana zostanie budowa Regionalnego Centrum Onkologicznego, a także wspólne prace inwestycyjne przy budowie nowego szpitala wielospecjalistycznego na Teofilowie, prowadzone będą za te pieniądze.

KIERMASZ PRAC STUDENTÓW PWSSP

W niedzielę przed budynkiem „Magdy” studenci PWSSP w Łodzi urządzili kiermasz swoich prac. Znalazło się kilkanaście obrazów oraz trochę drobnych przedmiotów artystycznych, w której praktykują przyszli specjaliści wznictwa przemysłowego. Część wystawionych obrazów znalazła nabywców, a wystawione przedmioty również cieszyły się dużym uznaniem wśród zwiedzających. Kiermasz młodych artystów odbywał się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca.

PIERWSZY POLSKI LEK PRZECIW MIGRENI

Jak donosi „Express Ilustrowany” łódzcy naukowcy z Uniwersytetu Łódzkiego prowadzą intensywne prace nad polskim lekiem przeciw migrenie. Jest on odpowiednikiem nowego szwajcarskiego preparatu o nazwie „Sandomigran”. Opracowany jest on w Spółdzielni Chemiczno-Farmaceutycznej „Polon”. Przeprowadzone badania dały wyniki pozytywne. Również doświadczalne przebiegi badań klinicznych nad nowym preparatem. Po wpisaniu leku do centralnego rejestru leków podjęta zostanie jego produkcja na skalę przemysłową.

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

POLITYKA

PRZED WIELKIM FINAŁEM

W atmosferze oczekiwania i napięcia narodziła się spogładająca na Genewę, gdzie toczyły się negocjacje polityczne drugiej fazy Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dwuletni maraton polityczny dobiegł wreszcie końca. W poniedziałek, 14 bm. przedstawiciele 33 państw europejskich, oraz Stanów Zjednoczonych i Kanady osiągnęli porozumienie, zgodnie z którym spotkanie na najwyższym szczeblu rozpocznie się w Helsinkach dnia 30 lipca 1975 roku. Podjęcie tej decyzji oznacza, iż przezywane były dotychczasowe trudności i że wszystkie najważniejsze problemy, będące przedmiotem obrad, zostały już rozwiązane.

Przewodniczący polskiej delegacji na drugą fazę konferencji KBWE, ambasador M. Dobrosielski w rozmowie z genewskim korespondentem PAP, J. Wańkowiczem stwierdził:

„Podjęta w poniedziałek jednomyślna decyzja Komitetu Koordynacyjnego ma doniosłe znaczenie. Oznacza ona, że w ciągu najbliższych dni zakończy pozytywnie swe prace druga faza KBWE. Umożliwi to odbycie po raz pierwszy w historii Europy spotkania na najwyższym szczeblu politycznym przedstawicieli 33 państw europejskich oraz Stanów Zjednoczonych i Kanady. Na spotkaniu tym zatwierdzony zostanie wypracowany w ciągu prawie dwóch lat dokument liczący ponad 100 stron, który bez przesady można nazwać kartą pokojowego współistnienia, bezpieczeństwa i współpracy wszystkich państw i społeczeństw w Europie.

Trzecia faza KBWE w Helsinkach będzie symbolem jakościowego przełomu i historycznego zwrotu, który dokonuje się w stosunkach między państwami naszego kontynentu. Zatwierdzenie wspomnianego dokumentu będzie wyrazem zdecydowanej woli politycznej najwyższych przedstawicieli państw, rządów i społeczeństw europejskich, stworzenia podstaw trwałego pokoju, bezpieczeństwa i twórczego rozwoju całej Europy i wszystkich państw europejskich, opartych nie na wysiłku zbrojnym i polityce z pozycji siły, lecz na poszanowaniu suwerenności, integralności terytorialnej, nienaruszalności granic, nieingerencji w sprawy wewnętrzne wszystkich państw uczestniczących, w korzystnej dla wszystkich współpracy w dziedzinach politycznej, ekonomicznej, naukowo-technicznej i innych.

Trzecia faza KBWE będzie symbolem zakończenia okresu zimnej wojny, wyrazem powszechnego uznania istniejącej terytorialno-politycznej i społeczno-ekonomicznej rzeczywistości w Europie. Rozpocznie ona nową erę w powojennej historii Europy.

Do miary symbolu urasta też fakt, iż zakończenie KBWE przypadnie w roku 30-lecia wielkopomnego zwycięstwa nad faszystami, które było jednocześnie zwycięstwem i ocaleniem godności ludzkiej, najistotniejszych wartości humanistycznych i wiary w możliwości ich realizacji.

Konferencja nie kończy się pełnym zwycięstwem czy porażką, którekolwiek z państw czy grupowa-

wa w niej uczestniczących. Kończy się ona sukcesem wszystkich, a przede wszystkim zwycięstwem zdrowego rozsądku, idei pokoju i przyjaźni narodów. Dla całej wspólnoty socjalistycznej, dla całej europejskiej, postępowej i realistycznej myśliciel opinii publicznej jest to powód do satysfakcji i optymizmu.

Bez fałszywej skromności podkreślić możemy istotny wkład Polski w to historyczne dzieło. Rząd polski zgłaszając przed dziesięcioletnią propozycję zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji bezpieczeństwa, będąc tym samym jednym z inicjatorów KBWE, cały czas aktywnie działał i działa na rzecz jej owocnego zakończenia. Przedstawiciele polskiej delegacji czynnie uczestniczyli w pracach przygotowawczych komisji i innych organów roboczych, dyskutujących i przygotowujących różne dokumenty, występowali z szeregiem cennych inicjatyw i propozycji, które niejednokrotnie pozwoliły przezwyciężyć zaistniałe trudności, wyjść z impasu i dynamizowały w ten sposób tempo obrad.

Uważa się ogólnie, iż osiągnięte porozumienie i podjęcie decyzji o terminie zwołania konferencji na najwyższym szczeblu jest wyrazem wielkiego dorobku, osiągniętego przez konferencję oraz przekonania, że zakończy się ona wkrótce pełnym sukcesem, uchwalając dokument, będący — jak to określili sekretarz KC PZPR Edward Gierrek podczas swego wystąpienia w ONZ — kartą praw i obowiązków narodów europejskich.

(1)

TELEWIZJA

PROGRAM TVP
od 17 lipca do 23 lipca

CZWARTEK — 17 lipca, progr. I, godz. 16.30 „Obiektyw” — program województwa łódzkiego, kieleckiego, piotrkowskiego, radomskiego, sieradzkiego, tarnobrzskiego.

PIĄTEK — 18 lipca, progr. I, godz. 9.20 STUDIO „SOJUZ-APOLLO”.

SOBOTA — 19 lipca, progr. I, godz. 8.50-9.35, 10.00-10.40 STUDIO „SOJUZ-APOLLO”.

NIEDZIELA — 20 lipca, progr. I, godz. 11.30-12.00, STUDIO „SOJUZ-APOLLO”.

PONIEDZIAŁEK — 21 lipca, progr. I, godz. 11.30-12.30 STUDIO „SOJUZ-APOLLO”.

Wtorek 22 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Jadzia” w reżyserii Mieczysława Krwawicza. W rolach głównych ujrzymy m. in.: Jadwigę Smosarską, Mieczysława Cwiklińskiego, Aleksandra Zabczyńskiego i Michała Złotego.



Wtorek 22 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Jadzia” w reżyserii Mieczysława Krwawicza. W rolach głównych ujrzymy m. in.: Jadwigę Smosarską, Mieczysława Cwiklińskiego, Aleksandra Zabczyńskiego i Michała Złotego.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — to jeden z odcinków nowej serii TVP, opowiadający o działach kurierów tatrzańskich, działających w czasie okupacji.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Rene Claira. Spotkamy się w tym filmie z idealnym, jak zawsze, aktorem komediowym słynnym Bourville. Występuje on aż (1) w trzech rolach — starego właściciela i jego dwóch synów. Zabawa zapewniona.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

Środa 23 lipca, progr. I, godz. 19.45 — „Trzecia granica” — francuska komedia w reżyserii Marcela Carne. W rolach głównych ujrzymy: Jeana Gabina, Arlette Julesa Berry.

NIE TYLKO HISTORIA

POMNIK

Historię mają również pomniki, zwłaszcza te najsławniejsze. Należał do nich z pewnością i Pomnik Grunwaldzki w Krakowie, ufundowany przez wielkiego artystę Ignacego Paderewskiego w pięćsetlecie rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem, odsłonięty w 1910 r., zburzony przez hitlerowców w roku 1940. Już pod koniec listopada zwieziono na plac Matejki stęgi desek i przystąpiono do zastawiania pomnika, który niebawem miał podzielić los innych pamiątek kultury i historii polskiej. W początku kwietnia następnego roku pomnika już nie było; ogromne żelazne i stalowe wywołano na Śląsk, by je przetopić w łamiejszych hutach. Hitlerowcy wydobyli nawet zamurowany w fundamentach pomnika akt erekcyjny, zawierający dokładny opis uroczystości wmurowania kamienia węgielnego. Dokument został wywieziony i wszelki ślad po nim zaginął.

Już w drugim tygodniu wolności społeczeństwo prastarej stolicy przywrócić sobie odbacone wszystkie zniszczone przez hitlerowskiego okupanta pomniki. Wócił na swoje dawne miejsce, przed Sukienicami, pomnik A. Grunwaldzki. W 1960 r. stanął ponownie pomnik Tadeusza Kościuszki. Najdłuższy czekał na swój powrót Pomnik Grunwaldzki. Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa na swym walnym zebraniu 20 marca 1971 r., odpowiadając na zgłoszenie zewsząd życzenia społeczeństwa, nadsyłane z całego kraju, podjęło uchwałę postulującą jak najszybsze, wedle możliwości, przywrócenie miastu zniszczonego pomnika. 14 października 1972 r. na pierwszej stronie krakowskiego dziennika widniały słowa: „Dziś rano powołano w Krakowie Komitet Odbudowy Pomnika Grunwaldzkiego”. Utworzony na forum obrad Krakowskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu Komitet ogłosił apel do społeczeństwa, które odpowiedziało nań, nadsyłając dobrowolne datki.

Największy pomnik Krakowa przywrócić zostanie miastu. Siła ruchu społecznego wywołanego ideą odbudowy Pomnika Grunwaldzkiego sprawiła, że to pragnienie stanie się faktem.

Tymi słowy kończy swą piękną książeczkę, zatytułowaną „Pom-

nik Grunwaldzki w Krakowie” Andrzej Urbańczyk (Wydawnictwo Literackie, 1974). Autor przypominał w niej dzieje sławnego pomnika, który ufundowany został przez wielkiego artystę Ignacego Paderewskiego i odsłonięty podczas uroczystości pięćsetlecia polskiego zwycięstwa nad Zakonem Krzyżackim w 1910 r. Wykonanie dzieła, o którym planista myślał przez wiele lat, powierzone młodemu i nieznomemu wówczas rzeźbiarzowi i architektowi Antoniemu Wiwulskiemu, młodemu artyście mieszkającemu w Paryżu, dla którego oferta I. Paderewskiego stała się życiową szansą. Projekt rozdzielił się w tajemnicy, swoista konspiracja towarzyszyła również pracom, prowadzonym na placu Matejki w Krakowie, zapewne dlatego, aby uniknąć przedwczesnych sporów, które zresztą i tak się podniosły. A. Urbańczyk przypuszcza, że do tej atmosfery tajemniczości przyczyniła się niedawna tragedia Antoniego Kurwasy, świeżo jeszcze w ludzkiej pamięci. Artysta ten nie spotkał się z uznaniem jurorów, oceniających projekty pomnika A. Mickiewicza; kiedy dowiedział się o odrzuceniu swego dzieła, odebrał sobie życie. Zresztą i A. Wiwulski miał przykre doświadczenia z konkursu w Krakowie: jego projekt nowego kościoła, nadesłany na konkurs, został przeleżać odrzucony.

Odsłonięcie pomnika stanowiło główny akcent uroczystości grunwaldzkich w Krakowie w 1910 r., obchodów które miały istotne znaczenie dla „pokrzepienia serc” polskich we wszystkich trzech zaborach. Była to największa tego rodzaju manifestacja polityczna, niepomniernie większa od dawniejszych, jak np. skromnych obchodów kazimierzowskich, kiedy to w Krakowie przypadkiem odnaleziono w katedrze zwłoki ostatniego. Piasta na polskim tronie, Kazimierza Wielkiego. Pomnik odsłonięto w południe 15 lipca, dokładnie w dzień dawnego polskiego narodowego święta, jakie obchodzono na Rozesłanie Apostołów. Ustanowił je jeszcze sam Władysław Jagiełło. a obchodzenie było w całej Rzeczypospolitej aż do rozbiorów. Pamiętano o nim również później: doprawdy trudno bez wzruszenia czytać te enigmatyczne wzmianki w wykazach świąt kościelnych,

publikowanych przez diecezję na obszarze dawnej Rzeczypospolitej, o uroczystościach przewidzianych na dzień Rozesłania Apostołów. z powodu zwycięstwa Polaków nad Krzyżakami, czy prościej — nad Niemcami. A takich zapisów jest bardzo wiele, mnożą się one aż do początku XX stulecia. Świąta nie zapomniano, acz nie wolno go było obchodzić z powodu zakazu władz zaborczych; istniało ono jednak formalnie, a niekiedy, z narażeniem się władzom, starano się je przypomnieć. W ciężkich dniach prześladowania Polaków w zaborze pruskim w Bobie Hakaty, przy zamkniętych wrótach w blasku świec, kanonicy archidiecezji emleńskich snuli w ten dzień cicha, skryta przed pruskimi oczyma procesję, na namiatki grunwaldzkiego zwycięstwa. Miało to wówczas swą wymowę, większą chyba, niż gdyby świętowano oficjalnie, otwarcie.

„Pragniemy gorąco, by każdy Polak i Litwin, każdy z dawnych dzielnic Ojczyzny — czy zza oceanu, spoglądał na ten pomnik jak na znak wspólnej chwały, zapowiedź lepszych czasów, jako na cząstkę własnej, wiara silnej duszy” — mówił I. Paderewski przy odsłonięciu pomnika. I mówił cennie. Przypomnienie wspólnych chwil przeszłości miało wówczas, w przededniu wojny światowej, którą zburyła dotychczasowy porządek rzeczy, szczególnie doniosłe znaczenie. Przygotowywało do „wybiecia się Polaków na niepodległość”. Uroczystości grunwaldzkie i odsłonięcie pomnika, poświęconego pamięci zwycięstwa z 1410 r., miały wówczas znaczenie daleko przekraczające granice miasta Krakowa, czy nawet całego zaboru austriackiego. Miały znaczenie ogólnopolskie, jak dali temu świadectwo uczestnicy obchodów, którzy nadejścieli ze wszystkich stron kraju. I takie ogólnopolskie, nie zaś jedynie regionalne, miejscowe, krakowskie znaczenie ma odbudowanie Pomnika Grunwaldzkiego, dziś będącego przypomnieniem nie tylko wydarzeń z 1410 r., ale i pamiętnych chwil z roku 1910. A dla naszego pokolenia są one również historią, o której nie trzeba zapominać.

LEKTOR

BEZ WYKOŃCZENIA

Zmiany w podziale administracyjnym kraju, wprowadzenie dwuslopnowego systemu władzy państwowej, pociągający za sobą zmiany w systemach funkcjonowania prasy, radia i telewizji. I tak zupełnie niespostrzeżenie przestał istnieć Łódzki Ośrodek Telewizyjny, a na jego miejsce pojawił się Łódzki Zespół Polskiej Telewizji. Zmarł śmiercią gwałtowną nasz publiczny informacyjny „W Środku Polski”, a na jego miejsce — już w programie drugim TVP — pojawił się zupełnie nowy twór — „Studio PI” — Publicystyka — Informacja.

Z nowościami — jak wiadomo — sprawa u nas niebawem skomplikowana, gdyż zupełnie nie wiadomo, co jest prawdziwą nowością, a co otrzymało tylko etykietkę nowości. Ta zasada dość powszechnie stosowana w przemyśle i handlu nieoczekiwanie znalazła zastosowanie również w telewizji. Oto bowiem „Studio PI”, nowość lokalna w drugim programie, ma tylko etykietkę nowości, spod której wygląda dawne „W Środku Polski” — dokładnie przemianowane i jeszcze bardziej dawnymi LWD. I ta przemiana przemianowana jest dla telewizorów z województwa łódzkiego i województwa kieleckiego.

Szkoda mi trochę „W Środku Polski” i nie dlatego, abym był tradycjonalistą, ale dlatego, że coś zaczęło wyrastać z tego dzieła, które narodziło się trochę pod wpływami „Panoramy”, ale które miało szansę na pełnoletność i samodzielność. A szkoda mi jeszcze i dlatego, że w „Studio PI” bardzo łatwo można będzie zgubić to wszystko dobre, co urodziło się w „Środku Polski”.

Trochę ze współczuciem patrzę na Jerzego Walczyńskiego, jak „gimnastykuje się” przed kamerą, usiłując wmurować telewizor w Kiele i okolice, że bardzo ich zainteresują pamiątki po Stefanie Żeromskim. I zupełnie nie rozumiem, dla kogo przeznaczane są inne obrazy z Kiele i okolic, bo kieleczanie dobrze je znają, a łódzianom znów tak bardzo do szczęścia nie są potrzebne. Łódzki Zespół TVP będzie musiał znaleźć dopiero formułę dla „Studio PI” i nie będzie to takie znów łatwe. Przede wszystkim dlatego, że trzeba będzie iść w kierunku szukania wspólnej z problemami, a odejść od pokazywania obrazków, jak to też często robi starszy brat — „Studio PI” — „Obiektyw”.

Jerzy Walczyński miał znakomitą okazję do podjęcia tematu, który mógłby w jednakowym stopniu wszystkich zainteresować. Przedstawił bardzo smutny i zmuszający do refleksji materiał o przerażającej samotności starego człowieka: Ale w chwili, kiedy usiadł obok prezesa łódzkiego oddziału Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, zabrakło mu widać odwagi dla zadania zasadniczego pytania: dlaczego, mimo że zgłoszono omawiany wypadek, PKPS nie pospieszył z pomocą, do której jest zobowiązany?

Wydało mi się, że „Studio PI” obok koncepcji brak również wykończenia. Koncepcja — wierzę w to — narodzi się z praktyki, oby tylko nie był zbyt długi poród. O wykończeniu można już zażądać się teraz. A wykończenie — to nie inne — jak tylko pytanie i wnioski logicznie wynikające z całości prezentowanego materiału filmowego czy telewizyjnego. Ja rozumiem, że znaczenie łatwiej jest takie pytanie, czy takie wnioski napisać, niż je powiedzieć wobec tego, do kogo są adresowane. Ale prezentowany obraz na ekranie telewizyjnym ma często to do siebie, że widzowi nasuwa inne skojarzenia niż chciałby tego autor audycji.

Oto Jerzy Binder w „Szamie nr 30” prezentował przedstawicieli przemysłu mięsnego, którym zadł kłopotliwe pytanie: dlaczego nie produkują konserw niskokalorycznych? Okazało się, że Instytut Przemysłu Mięsnego dopiero przystąpi do opracowania receptury dla takich konserw, a J. Binder słusznie zauważył, że takie konserwy już produkuje przemysł przetwórców owocowo-warzywnych. I chwala mu za wyłapanie tego paradoksu, ale otwiera pytanie: dlaczego? Nie rozumiem, dlaczego IPM musi przygotowywać się do przygotowywania receptur, skoro coś takiego dostępne jest już w innych krajach? Czyż nie szkoda czasu i energii? Czy IPM nie ma większych zmartwień? A noż tym, czy nie potrzeba aż naukowców, aby przygotować recepty dla produkcji konserw?

Może jestem w błędzie, może to jest takie trudne, ale chciałbym, aby mnie ktoś z tego błędu wyprowadził. Niestety, Jerzy Binder rozkoszował się lodami „Familijskie”, a ja w błędzie pozostaję. Łódź mu nie zadrzęszce, niech sobie nadal tyle, jego sprawa, ale chciałbym tylko prosić o konsekwencję w zadawaniu pytań i o logiczne wnioski z tego, co prezentuje się na ekranie.

A na ekranie telewizyjnym obok rzeczy ciekawych i nowych mamy też przegląd staroci oraz repetycje z historii filmu polskiego. Nazywa się to „Letnie kino”. Letnie to ono może i jest, jak nie letnie są napoje chłodzące, a czasem wręcz gorące. Nawet plakatowa „Panorama”, która ostatnio stała się coraz bardziej zadziorna, tym razem też była letnia. Rozumiem, wakacje. Nawet nasz stały recenzent telewizyjny wziął nagły urlop i dlatego wybrzydza za niego.

ZASTĘPCA

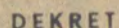
ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREUDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAZDZYNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, BERNARD SZTAJNERT.

1 (37)

Parlamentu Rzeczypospolitej Polskiej



Krajowej Rady Narodowej o utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego

MANIFEST

Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego



o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej



Reprodukowane zdjęcia i dokumenty pochodzą z teki Krajowej Agencji Wydawniczej: „Udział Polaków w zwycięstwie nad faszyzmem — dokumenty”, Warszawa 1973.

22 lipca 1944 roku ogłoszony został Manifest PKWN. Był to początek Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i każdego roku 22 Lipca obchodzimy jako narodowe święto. Co działo się przedtem? Na kilka miesięcy przed ogłoszeniem Manifestu PKWN?

Odpowiedź na to daje książka Włodzimierza T. Kowalskiego pt. „Wielka koalicja”. Drugi tom tej publikacji ukazał się niedawno na półkach księgarskich. Z tego tomu wybraliśmy kilka fragmentów odnoszących się do zabiegów dyplomatycznych poprzedzających powstanie PKWN.

Trzykrotnie Mikołajczyk wybierał się do Waszyngtonu i trzykrotnie Roosevelt przekładał termin jego przyjazdu. Najchętniej nie widziałby go w ogóle. Lecz ostry kryzys sprawy polskiej i wymogi polityki wewnętrznej w roku wyborów prezydenckich były tutaj czynnikami decydującymi.

Na krótko przed wyjazdem Churchill bez ogródki oświadczył Mikolajczykowi, że Polacy wybić muszą sobie z głowy politykę antyradziecką i zrezygnować z prób rozbicia jednolitej wielkiej monarchii. Żołnierze brytyjscy i amerykańscy nie będą szli na śmierć „dla naszych pięknych oczu” podaje E. Raczyński — a układ ze Związkiem Radzieckim musi być zawarty. Nadszedł teraz czas na zabranie głosu przez Amerykę. Nie wolno jednak spekulować na wyborach, nie wolno szantażować Roosevelta głosami wyborców polskiego pochodzenia. Należy być bardzo ostrożnym w składaniu publicznych deklaracji w Stanach Zjednoczonych — pouczał Churchill polskich polityków.

Wkrótce po wyjeździe Mikolajczyka 19 czerwca Roosevelt napisał list do Stalina. Zaznaczał w nim uprzedzając, że „nie przygotowano żadnego specjalnego planu czy propozycji, która by w jakiejś postaci zahaczała o stosunki polsko-radzieckie”, prosił o przyjęcie Mikolajczyka w Moskwie.

Stalin odmówił tej prośbie. Ocenia krótko, że wizyta Mikołajczyka w Waszyngtonie nie zmieniła stosunku Mikołajczyka do Związku Radzieckiego.

Nie spełniły się nadzieje, jakie wiązała Mikolajczyk z wizytą w Waszyngtonie. Punkt ciężkości akcji dyplomatycznej nie pozostawał nadal w Londynie. Mikolajczyk żył złudzeniem, ale w Londynie szybko sprowadzono go na ziemię. Churchill bardzo krytycznie odniósł się do „obietnic” Roosevelta odnośnie zdecydowania myśli o poprawie linii Curzona w duchu propozycji prezydenta. Jesi to całkowicie aliteralne, przestrzegając przed poddawaniem się iluzjom: był podrażniony metodami Roosevelta, wręczaniem czeków bez pokrycia.

Churchill wzywał do realizmu, ale Mikolajczyk nie wiedział, czego się trzymać: słów Roosevelta, przestrogi premiera, czy też stanowiska władz krajowych, które wiazały mu ręce. Churchill wzywał do pospiechu, ale Mikolajczyk nadal stał w miejscu. 29 czerwca spotkał się z Edenem, który nalegał na natychmiastową zmianę rządu „bez naciśku z zewnątrz”. Mikolajczyk odrzucił to żądanie, mówiąc, że jego autem jest AK.

16 marca 1944 r. w Warszawie padał śnieg, przechodzący miejscami w zamieć. Wiało chłodem i smutkiem jakimś, godzinach popołudniowych na Dworcu Głównym było jak zawsze gwarno i rojno. Tysiące podróżnych przemierzających perony i tunele, zdyszani pasażerowie wpadali do pociągów. Jedni wracali z pracy, inni przyjeżdżali na drugą zmianę, a jeszcze inni jechali za szmugłem.

Tego popołudnia do pociągu relacji Warszawa—Łuków wsiadło trzech ścisłych współpracowników podróżnych, Stanisław i on polityczną delegację Krajowej Rady Narodowej. Przed sobą mieli długą i trudną podróż. Zmierzało do Moskwy.

Szeferndelegacji przy Edward Osóbce — Morawski („Tadeusz Waslewski”) — przywódcą RPPS, współtwórcą KRN, działacz polityczny o dużej odwadze osobistej, u którego temperament polityczny niekiedy górował nad rachunkiem sił. Osóbka niegdyś podał działacza socjalistycznego starszego pokolenia, dziś wicezyczą, urzędnika bankowy Jan Stefani Haneman, Trzecim uczestnikiem tej wielkiej przygody z historią był działacz Polskiej Partii Robotniczej, Marian Sychalski, były szef Sztabu Gwardii Ludowej, bliski współpracownik sekretarza generalnego PPR Władysława Gomułki.

W drodze dołączył do nich czwarty uczestnik wyprawy, mjr Kazimierz Sidor, przewodniczący konspiracyjnej Lubelskiej Rady Narodowej, dzielny partyzant o ogromnej odwadze i dużych walorach towarzyskich.

Minęło wiele tygodni, nim delegacja osiągnęła swój cel. Na trasie prowadzącej do Moskwy trzeba było ominąć wiele przeszkód, pokonać szereg trudności transportowych, a prowadzący trud w warunkach stałego ryzyka. Nadeszła wczesna wiosna, były roztopy, a drogę wiodła przez tereny będące dla Niemiec głębokim, a następnie bezpośrednim zapleczem frontu.

22 maja delegacja KRN przybyła do Moskwy. Delegacja składała się z członków KRN i ZPP. Delegacja zaapelowała o pomoc w dostarczaniu sprzętu na potrzeby Armii Ludowej, poinformowała o sytuacji w kraju, oświadczyła, że rząd emigracyjny „nie jest reprezentantem narodu polskiego”, że w interesie tego narodu jest międzynarodowe uznanie KRN.

Zgodnie z zapiskami delegacji, Stalin był bardzo szczodry, jeśli chodzi o dostawy sprzętu wojskowego na potrzeby AL, powściągliwy zaś w sprawie ofi-

Dalszy ciąg na str. 4

stał z tego stanowiska za zbyt wolne tempo wdrażania ustawy o reformie wojnej. Jego funkcje przejął Osóbka — Morawski. Niektórzy z działaczy PKWN, jak: B. Drobner, S. Skrzyszewski, S. Jędrzejowski, pełnili później w ciągu wielu lat, ważne funkcje państwowe i partyjne.

— Ot i mamy już herbatkę. Zje pan co?
— Na noc? To niebezpieczne w moim wieku.
Pili herbatę w milczeniu. Wiatr przegnał burzę na wschód, wracały deszcze słabnące fale deszczu. Tominasz

1890

nigdzie, wysiadł ostatni pasażer. A stało się tak dlatego, panie Tarasiewicz, że co innego tworzyć życie, co

— Będzie jajecznicą i mleko.
— A kieliszek na powitanie dnia?
— Dzisiaj jałowcówka, panie To-
maszu.

(fragment powieści przygotowywanej do druku)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

KONIEC SEZONU

...słodocy konfitur i miodu, delikatną
...ostrosć kwaszonej kapusty i ogór-
...ków? Jakże oni pogodzili Polskę,
...maną już tylko ze starych kalenda-
...rzy i ksządek kucharskich z lodówką
...traktorem, łazienką i gazową kuch-
...nią?

— Na ciebie to pan jesteś zdrow jak byk!

(fragment powieści przygotowywanej
do druku)

HISTORIA OBYCZAJÓW (V)

Nie wiadomo, kiedy Barbara pierwszy raz ujrzała Zygmunta Augusta, można przyjąć, że z widzenia zaimponowała mu już od dzieciństwa. Oboje, będąc rówieśnikami, obracali się w tych samych kołach, kiedy to w latach 1528-1529 a następnie 1533-1536 pacholecy król wraz z rodzicami bawili w Wilnie. Barbara była córką pierwszego litewskiego dygnitarza, którego lastry z dworem królewskim liczone sprawy, jest więc prawdopodobne, że już wtedy widywała przyszłego męża. Bez wątpienia wiele o nim słyszała, jako o przyszłym samowładcy Wielkiego Księstwa, spadkobiercy wielkich, litewskich tradycji. Okazją do spotkania był także pobyt młodego króla w Wilnie w latach 1541-1542, kiedy nasza bohaterka była już kobietą dorosłą, wojewodzina. Jest pewnym, iż do bliższego kontaktu między nimi jednak nie doszło. Możliwe, że jednak już wtedy pragnęła go poznać bliżej, możliwe że już jako młodka snuła marzenia o jakimś bliższym związku. Historyk Ludwik Kolankowski przypuszcza, że w tych latach król pierwszy zwrócił uwagę „na jasniejącą niezwykłą urodą wojewodziny”. Nie jest to wykluczone, sądzę jednak, że to raczej Barbara, mając już większe doświadczenie, będąc wcześniej samodzielną, była stroną, która właśnie pierwszą starała się zwrócić na siebie uwagę, może umiejętnie kokietowała młodego Jagiellończyka.

Wszystko to są wszakże tylko domysły, faktem było zaś małżeństwo króla z młodszą Elżbietą Austriacką, zawarte w maju 1543 roku. Wiadomo o tym musiała dotrzeć do Barbary, w związku z tym jej ewentualne marzenia blady, nie z tego względu iż August się ożenił (wiedziała ostatecznie, że małżeństwo nie stanowi bariery uniemożliwiającej współżycie z innym partnerem), lecz z powodu faktu, iż tegoż żona była kobietą młoda i ponoc urodziwa. Mogła rozumować, że w tej sytuacji król nie będzie miał po prostu czasu ani chęci na inne kobiety. Należy również dodać, że jeśli nawet skrycie myślała o jakimś związku z Augustem, to nie przeszkadzało, iż bawiła się wesoło z innymi mężczyznami, także z kręgu rodzinnego. Pełno było wokół niej rozmaitych wielbicieli i wykazywanych bynajmniej nie braterskie afekty kuzynów.

Zygmunt August w lipcu 1543 roku opuścił Kraków i wyruszył na Litwę, pozostawiając w rodziców młoda, lecz wcale nie pożądaną, a cóż dopiero kochaną żonę. Jest możliwe, że królowa Bona żegnając syna wspominała mu coś o Barbarze, w związku z jej pępetaniem spowodowanymi sprawą spadku po Gaszoldzie. Początkowo nie myślał chyba o niej czy jej sprawach, bawiąc się wesoło w towarzystwie swych dworzan. Ciepłe erotyczne stosunki, jak wiemy, zaszczepiła atrakcja królewskich igraszek i zabaw. Można być tedy pewnym, że wcześniej jesienią 1543 roku zarówno Barbara jak Zygmunt wiedli wcale nie asceetyczny żywot.

Król, jak wiemy, miał jednak wybredne gusta, lubił piękne kobiety. Pannie, które syły jego „mięso”, nie potrafili go bardziej zainteresować, po prostu szybko mu się nudziły. W tej sytuacji otaczający go dworzacy zwrócili mu uwagę na Barbarę. Należy podkreślić, że do grona ludzi towarzyszących wtedy Zygmuntowi należeli krewni naszej bohaterki: jej brat stryjeczny Mikołaj Czarny Radziwiłł, kuzyn Stanisław Kiełbaso, daleki powinowaty Stanisław Dowojno. Źródła, m.in. relacja Gratińskiego, wyraźnie stwierdzają, że król postanowił udać się do Barbary ze względu na to, iż stanowiła atrakcyjny i dostępny obiekt erotyczny. Wyobraźnię króla rozpalano opowiadaniem o urodzie i kunszcie miłosnym wojewodziny, o łatwości z jaką będzie się napawał jej, lubiącem lu-

biećnością, ciałem. Jagiellończyka nie trzeba było długo namawiać, pretekstem do odwiedzenia Barbary był spadek po jej mężu.

Nikt nie zna szczegółów pierwszego spotkania, lecz wedle zgodnej opinii tak współczesnych jak dziejopisów, ro-

zek jako miłość omal platoniczną, pełną wdychań, senymentów i wręcz nieokreślonych poczyną.

Barbarę i Zygmunta połączyła i przyciągała do siebie początkowo żądza fizyczna, namiętność, przysłówowa alkowa. Nie są to bezpodstawne domysły, supo-

wił kontynuować swój październikowy romans. Źródła świadczą, że zbliżył się w tym czasie do Radziwiłłów, którzy zresztą podsycał jego zainteresowanie Barbarą, wykorzystując króla jako cenę sprzymierzenia w walce, jaką prowadzili z królową Boną. Miało to

ofonalnym. Ich osobowości posiadały wiele cech podobnych.

Pokolenie Barbary i Augusta było innym niż pokolenie ich ojców, wzrosło w innym klimacie kulturowym, od dzieciństwa wiedziało o istnieniu Ameryki, interesowało się reformacją, delektowało twórczością artystyczną, było bardziej chłonne, wykształcone, liberalne. August na Litwie dostał się pod wpływ Barbary i Radziwiłłów, na tym nie doszło do rozdziewki z jego rodzicami, a szczególnie matką. Jest pewnym, że konfliktowa sytuacja z rodzicami zespiliła jeszcze mocniej Augusta z Barbarą w ramach nie tylko związku osobistego, lecz właśnie wspólnoty nowego pokolenia przeciwstawiającego się w pewnej mierze ograniczeniom i zakazom starszej generacji.

Zbliżało ich oczywiście samo współżycie cielesne, należy brać pod uwagę także specyficzny klimat tego związku. Inteligentna i znająca mężczyzn Barbara potrafiła dostrzec słabości i upodobania Jagiellończyka. Zdaje się, że wcale się nie kryła ze swą przeszłością, partner był w tych sprawach wyrozumiały, stał zdaje się na stanowisku, że jeśli jemu wolno było mieć przynależność miłosną, to takie samo prawo miały i Barbara. Jest pewnym, że absolutnie nie zniechęcał go wiadomość o jej przynależności, których nie szczędził mu dworscy plotkarze. Odwrotnie, przypuszczam, że nawet ekscytował go fakt, że ma za kochankę kobietę, którą polska opinia mieniała ladaćniczą i „wyborną kurwą”. To mielibyśmy się w jego mentalności, stylu. Trzeba podkreślić, że wiązała ich nie tylko namiętność, lecz także brak jakiegokolwiek skrepowania, śmiałość, pieszczoty, nawet wyrażanie. Świadczą o tym wyraźne wzianki Gratińskiego i innych, którzy akcentują, że Barbara przyciągała króla właśnie „pieszczotami”, „lubieżnością”. Swoboda i doświadczenie Radziwiłłówny stanowiły w jej związku z Augustem nie minus, nie powód do skrepowania i tłumaczenia, lecz właśnie walor, zalet. Sprawy te stają się zrozumiałe w aspekcie modelu obyczajowego, jakiego holdował August, o czym już pisałem.

Związek Barbary z Augustem miał początkowo bardzo zmysłowy, wybitnie erotyczny charakter; w ich grze miłosnej, w rytuale seksualnym, wszystko, czy omal wszystko, było zapewne dozwolone. Wohee tego rodzaju atmosfery wszelkie sprawy dotyczące przeszłości Barbary, wszelkie jej „erzeczki” stawały się dla Jagiellończyka bagatelne, lub też nawet go podniecały.

Zbliżało ich do siebie także wiele spraw drobnych, codziennych, bladości, które przecież mają tak wielkie znaczenie przy współżyciu dwojga ludzi. August był zapalonym myśliwym. Barbara również chętnie spędzała czas na łowach. Oboje przepadała za kłopotami, z zamilowaniem kolekcjonowali szlachetne kamienie, perły, kunsztowne wykonanie zegarki. Oboje lubili wesołe bankiety i festyny, towarzyszyli młodzieży, bezroskich ludzi. Ani jedno ani drugie nie przepadało za alkoholem, nie potrzebowało jakiegokolwiek narkotyzowania się, jakichkolwiek wzmacniaczy czy podniecających środków. Barbara nigdy, August zaś w tych latach niezbyt pasjonował się kombinacjami dynastyczno-politycznymi, nawet sprawami państwowymi. Złoty przede wszystkim „prywatnie”. Zdrowie i vitalność pozwalały, by swobodnie korzystać z bogactwa, z uroków, jakie ofiarowywało im życie i poezja społeczna. W tych latach mogli rzeczywiście uchodzić za dzieci szczęścia.

D.c.n.



ZBIGNIEW KUCHOWICZ

ROMANS ZYGMUNTA I BARBARY

mans rozpoczął się już podczas pierwszej wizyty. Nie wiemy, czy stało się to pierwszej nocy, czy po kilku dniach, w każdym bądź razie bardzo szybko. Nie gorszy się jednak tym tempem. Barbara okazywała słabość znacznie mniej atrakcyjnym mężczyznom, ulegała nie z wyrachowania lecz namiętności, może w dużej mierze ciekawości. Tyle o tym królewicz przeciwstawiła, tyle powiada o jego stylu życia, faworytach i miłośnicach. Była może ciekawa, jak też potrafi kochać ten pół Włoch, chciała może sprawdzić, jak sama wypadnie w porównaniu z jego poprzednimi nałożnicami, jak będzie działała na tego sławnego mężczyznę.

Wszystkie te powody wystąpiły chyba po trosze, musimy zresztą pamiętać, że król był przystojny i interesujący. Mógł się podobać nie będąc królem, co za dopiero jako władca i to na Litwie, gdzie władza była w znacznie większym poszanowaniu niż w rządzie przez demokrację szlachecką Polskę. Późniejsze zdarzenia wskazują, że nie zawiedli się w swych oczekiwaniach. Barbara dała mu bez wątpienia maksymalną satysfakcję seksualną, pełną rozkosz, otrzymując te same odczucia. Te pierwsze zbliżenia, ta miłość fizyczna dały im przyjemność i radość, wojewodzina wystąpiła jako dawczyni miłości i rozkoszy...

Znając osobowość obojga kochanków, znając ówczesne obyczaje można być pewnym, że w takiej atmosferze przebiegały ich pierwsze zbliżenia. Należy zwrócić uwagę na opisy purytańskich historyków, którzy przedstawiali ten zwią-

zycie. Dobrze poinformowany i zorientowany w sekretach życia królewskiego sekretarz nuncjusza A.M. Gratiński podkreślał później przysłówowy dzień seks Barbary, upatrując w nim zasadniczy ożrę, którym roznamietniła i znieśliła króla. O początkach romansu tak pisze (cytuje dosłownie tłumaczenie):

„August wpadł w miłość Barbary Radziwiłłówny, która to kobieta sławnego na Litwie rodu (...) zawsze poświęcała więcej uwagi wszystkim innym sprawom, niż sławie. (Barbara) Utraciwszy z wieloma wstydlivością, król zwiędziony przez nich samych (domyslnie - jej kochanków, a swych dworzan), wysławiających kształt i ciało i łatwa rozpust, naprzód do niej został doprowadzony (...), został on uwikłany i usidłony tak bardzo jej powabami i pieszczotami (...), że prawie zaprzeczał rozumowi ludzkiemu, z zapalem jej pożądał.”

Pobyt w Geranojnach trwał kilka tygodni. Pretekstem do przedłużenia wizyty było grasowanie tak zwanego powietrza czyli epidemii. Wreszcie jednak wyjechał zabierając ze sobą mienie ruchome po zmarłym wojewodzie, m.in. gotówkę, srebro, księgi i rejestry dochodów. Czy zabrał rzeczywiście wszystko? Śmieiem powątpiewać, wiadomo iż był hojnym, wiadomo że Barbara stała potrzebowała pieniędzy. Przypuszczam tedy, że chyba nie całe gaszoldowskie mienie wywieźli królewscy pacholecy. Że zostało się coś niecoś pięknej wdowie.

August wyjechał z Geranojnow, lecz nie mógł zapomnieć Barbary, postano-

miejsce w pierwszej połowie 1544 roku. Już wtedy Zygmunt August w tajemnicy przed matką, wyplacał im znaczne sumy pieniędzy. Radziwiłłowie zjednali go dla swej polityki, której celem było oddanie mu rządów na Litwie za życia ojca, a następnie odebranie królowej Bony posiadanych przez nią dóbr. 6 października 1544 roku, pod naciskiem koterii radziwiłłowskiej, król Zygmunt Stary powierzył rządy na Litwie synowi, dla siebie zatrzymując tylko tytuł „supremus” i pewne uprawnienia. Litwa uzyskała wtedy faktyczną niezależność, a August pełną, wielokrotną samodzielność. Próby wydziedziczenia Bony jednak się nie udały i doprowadziły tylko do zatargów w rodzinie królewskiej.

Zygmunt Augusta spalała namiętność do Barbary. Jego stosunek do niej stał się zresztą inny. Wszystko wskazuje, że nasza bohaterka nie tylko satysfakcjonowała króla, lecz także stawała mu się coraz bliższa. Na fakt ten złożyło się wiele przyczyn. Oboje należeli do tego samego pokolenia, w sensie metrykalnym zbieżność była absolutna, w rozumieniu kulturowym zachodziły pewne różnice. Barbara wrosła przeciw w kręgu kultury litewsko-ruskiej, daleka od niepokojów religijnych i intelektualnych dociekań humanistycznych. Silniejsze od momentów różnicujących były jednak czynności spajające. Łaczyła ich przynależność klasowa, oboje należeli do elity feudalnej. Oboje, mimo różnic, Augusta, wyznawali tę samą religię. Mimo różnic wzrosli w podobnym klimacie emo-

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



Fot. Włodzimierz Parys

Horacy Safrin urodził się 11 stycznia 1899 roku, a pięćdziesiątą rocznicę swej pisarskiej działalności obchodził w 1964 - debiutował bowiem w pierwszym roku i wojny światowej tomikiem „Poezji”. Potomek starego rabinackiego rodu, urodzony w Monasterzyskach koło Buczacza, mieszkający potem z rodziną w Stanisławowie, kształcony w Wiedniu (na uniwersytecie - filologia niemiecka i angielska oraz w szkole teatralnej), członek lwowskiej bohemy oraz kilkunastoletni szef objazdowego teatru - stał się

HORACY SAFRIN

znawcą i miłośnikiem żydowskiego humoru oraz galicyjskiego obyczaju.

Z obu tych dziedzin czerpał i czerpie - umożliwiając kontakt z bogatą i urokliwą przeszłością dzisiaj dla większości czytelników już egzotyczną. Przed 1939 wydał Safrin oprócz „Poezji”, „Baśń o iluzji” (1917), „O Bogu i ludziach” - poezje (1920), „Niedyskrekcje” - humoreski (1930), „Świętliki” - aforyzmy (1930)... Okres wojny spędził w Związku Radzieckim, po wojnie osiadł Safrin w Łodzi, i tu, w Wydawnictwie Łódzkim drukował swe utwory: „Ośla szczerkę” - wybór bajek (1958), „Mucnę na cokole” - anegdoty, bajki, fraszki (1960), „Glupcy z Glupską” - satyry (1962), „Kain i Hewel” - poezje własne i tłumaczenia (1963), „Przy szabasowych świecach. Humor żydowski” (1963, drugie wydanie uzupełnione 1966, „rynk” 1967), „Na berdyżowskim „rynku” (1966), „Bez figowego listka” (1972). W 1967 „popelnili” jeden z „Pięciu śmiechów głównych” - wespół z Jerzym Afanasjewem, Maciejem Józefem Konowiczem, Włodzimierzem Słobodnikiem i Janem Sztudyngerem. Wyją-

kową pozycję w twórczości Safrina posiadają „Ucieszenie i osobliwe historie mego życia” (1970) - barwny, bardzo ciekawy i sympatyczny w opiniach oraz humorze zapis dobowych w pamięci przeżyć i wrażeń z młodzieńczego etapu biografii poety i satyryka.

Safrin jest ceniony i popularny (połączenie nie za częste) głównie jako satyryk, to znaczy - w dzisiejszej nomenklaturze, nie jako autor utworów gatunkowo przynależnych satyrze, lecz tworca tekstów, które „uczą bawiąc”. A tradycje literatury polska ma tu przede wszystkim: piszesz Kochanowski, układasz bajki, to dołączasz do Krasickiego, Trembeckiego, Niemcewicza, Góreckiego, Mickiewicza, konstruujesz aforyzmy, to kłopotczysz się bliskim (czasowo) sąsiedztwem Leca. Safrin uprawia wszystkie te gatunki - dodając jeszcze anegdotę - i to uprawia z powodzeniem (u publiczności). Może właśnie dzięki pamięci o poprzednikach i doskonałej znajomości ich fachu. Złazasz bajki Safrina są pokazem jego literackiej kultury i sprawności - przymiotów nie uznawanych za takie w kolejnych współczesnych „romantycznych” pokoleniach - wieszczów z przedwczesnego powicia i geniuszy z własnych mrzonek.

Zazdrościł Pegazowi romantyczny ogier.

Śmignął w górę, pobujał, spadł i złamał nogę. „Tym razem - rzekł koń

stary - nie uszło ci płazem. Nie wystarczył pobujać, by zwać się Pegazem!” - stwierdzał swego czasu sam bajkopis.

Bajkowa konfrontacja sił, stanowisk lub sądów dokonuje się u Safrina - klasycznie - w świecie antagonistów zwierzających. Fraszki - zdecydowała badaj o tym biografia autora - dotyczą wydarzeń między teatralnymi kulami. Stałych bohaterów ma i anegdota Safrina: są nimi przedstawiciele wszystkich pięt galicyjskiej społeczności żydowskiej, przypomniani przez znakomitego znawcę i świetnego opowiadacza w całym bogactwie swych barwnych biografii, w krasie roznosiącego trudne dzieje narodu słynnego żydowskiego humoru. W wierszu „Do Szolem Alejchema” Safrin mieni go wiecznym świętym: ojcem żydowskiej tragihumoreski, dziękując Mistrzowi, żeśmy - epigoni - na szlaku snów Twych odnaleźli siebie!”

Specyficzny dowcip Safrina, łagodny mimo swej celności, a to dzięki sympatii dla pełnego przywar jego adresata, techną, chciałoby się rzec - liryzmem, powoduje, że nie można mówić o Safrinie wyłącznie jako o satyryku. Swego czasu upominał się J. Koprowski w recenzji tomu „Kain i Hewel” o uznanie dla liryków zawartych w tym zbiorze. Faktycznie, wiersze to są świadectwem autentycznych przeżyć, zapisanych przez rzetelnie i klasycznie wykształconego poetę (nauka pobierana u wielkich roman-

tyków, jak w przypadku Safrina, jest lekcją klasyki: nawet dialektyzm i błędy językowe Mickiewicza zrozumiemy uczą funkcjonalnego posługiwania się różnorodnym poetyckim tworzywem). Uderza precyzja i kondensacja środków wyrazu - choćby w „Elegii o Kainowej zbrodni” zamkniętej ciasno w dystychy, rozpočetęj aroyoszczednym, jakże dzięki temu bogatym w znaczenia, odwołaniem scenerii.

Kain żuł strawę, Hewel leżał w płachu. Na nieboskonie dogorywał zachód.

Cenny i ceniony od dawna humanitaryzm utworów Safrina wypływa ze ściśle określonych źródeł; nadaje on twórczości - ujętej w klasyczne, adekwatne normy - swoisty charakter.

Podkreślał autor w swych wspomnieniach szczególną mądrość słów, pewnego cadyka, który tak tłumaczył zapis w księdze Szemot, iż córka faraona „zobaczyła”, że malutki Mojżesz płacze: „... Mojżesz od urodzenia był człowiekiem szlachetnym. A szlachetny człowiek nie płacze głośno, szlachetny człowiek płacze w sobie”. Dowcip w utworach Safrina pozabawiony został złośliwością, wspomnienie - izawie melancholii, bolesna przeszłość - rozpaczy: są to bowiem reakcje niegodne człowieka.

WIESŁAW PUSZ

Dalszy ciąg ze str. 1

Decyzja — wcześniej czy później — musiała więc być podjęta, jeśli STAL, a właściwie ciągle pogłębiający się jej ostry niedobór nie miał

Eksperci uważają, iż zużycie stali w Polsce będzie nadal bardzo szybko rosło. Jest to ogólna prawidłowość kraju rozwijającego się. Szacunki mówią, że w roku 1980 nasze potrzeby na stal sięgają 25 mln ton, co oznacza tylko zaspokojenie najbardziej docukujących niedoborów w dziedzinie produkcji idącej na rynek wewnętrzny jak i na eksport. Ale i to na długo nie wystarczy. W roku 1990 musimy wytwarzać co najmniej 34 mln ton stali. Jeszcze kilka lat: w roku 1970 na każdego mieszkańca Polski przypadało 357 kg stali, w pięć lat później 560 kg, a w roku 1990 zamierzamy osiągnąć 900 kg.

się stać hamulcem dalszego rozwoju, barierą wielu zamierzeń i programów ekonomicznych dla postępu społecznego.

I tak też było.

Gramolę się w dół z tej ambony, bo mój przewodnik doszedł jednak do skądinąd oczywistego wniosku, że redaktorowi dobrze zrobi parę lyków tego „całego interesu” — jak mówi. Znalazł się na podórzedziu jakiś terenowy lazik powożony przez „pana Rysia” — niechybnie tutejszego championa kierownicy — i z fantazją godną lepszej sprawy aniżeli moja figura, zaczęliśmy forsować wybój po wyboju, choć — muszę to uczelwie przyznać — pan Rysio dostał przykazanie, by wybierać raczej bardziej „cywilizowane drogi”.

Ziemia wybebeszona na nice.

— Co się tu działo? Redaktorze, słyszałem jak dyrektor Jagła mówił jednemu takiemu jak pan, że wyśleliśmy już tutaj 22 miliony ku blików tej gliny, a i tak to dopiero część roboty...

Okazuje się, że mój pan Rysio jest prawdziwym bankiem informacji i od niego dowiaduję się, że śladem tutaj 20 tysięcy ludzi, a kiedy przejeżdżamy obok silosów na cement, dostaje z pierwszej ręki ciekawą wiadomość:

— Zdajesz pan sobie sprawę, ile tu pęka każdego dnia cementu? Niejedno miasto nie ma takiego depantu. Pięć wytwórni betonu pracuje pełną parą i trzeba im dać te 150 wagonów kruszywa bo inaczej klapa z robotą i fajerant. A komputer już — rzecielczy! Jesteśmy do tyłu o tyle i tyle dni. W dyrekcji to kupa ludzi nie innego nie robi tylko liczy i wisi przy telefonach: — Doślijcie cement bo staniemy! Co z tymi koparkami? Pieruny — kiedy będzie ten acetylen?

— Panie, tam jest wirówka!

Wszystko to rzeczywiście przypomina gigantyczny kotwrotek zmontowany z ludzi, maszyn, linii telefonicznych i dalekopisowych, aparatu-

tury, której przeznaczenia nie potrafię odgadnąć, poruszających się we wszystkie strony samochodów. Z szachownic konstrukcji syją się iskry spod aparatów spawalniczych. Tam, na wysokości kilkudziesięciu metrów, zawieszni między niebem a ziemią jak cyrkowcy, pracują ludzie. Żurawie podają im jakieś fragmenty przesł, zasobniki narzędzi, to znowu płyty srebrzystej blachy. Zewsząd dochodzi syk acetyleny, zgrzyt metalu, postękiwanie koparek drążących ziemię. Trzeba wnieść obiekty produkcyjne i usługowe o ogólnej kubaturze przekraczającej grubo 7 mln metrów, na co trzeba 900 tys. kubików betonu i żelbetu. Kręgosłup tej całej budowy to prawie 190 tys. ton konstrukcji stalowych, użytych tylko do celów czysto budowlano-montażowych. Do tego trzeba jeszcze doliczyć parę setek tys. ton konstrukcji przeznaczonych dla przyszłych technologii. Waga tylko samych maszyn i urządzeń zbliży się do 200 tys. ton.

Tak w Zabkowicach-Losieniu odbywają się narodziny kolosa polskiej metalurgii: HUTY „KATOWICE”.

— Niezła robotka, co?

Pan Rysio po wypełnieniu swojego zadania przyjmuje konfidencjonalny ton gospodarza.

Ma rację — rzeczywiście niezła kawałek roboty. Każdego dnia cała armia ludzi należących do różnych



jest nie tylko w Europie. Te miliony to tylko cząstka owych 80 miliardów złotych, które wydamy jeszcze do końca bieżącej pięcioletki na zmodernizowanie naszej polskiej metalurgii a Huta „Katowice” będzie miała w tej kwocie największy udział. Ale to i tak tylko — wielka bo wielka — w gruncie rzeczy przymlarka. Dyktat postępu technicznego,

Inż. Jagła sięga po nową teczkę z dokumentami i pokazuje mi plachty zapisanego papieru, których autorstwa należy się doszukiwać w kilkudziesięciu przedsiębiorstwach projektowych naszego kraju, przy czym chwalebne miejsce zajmuje tutaj głównie „Biprohut”, jak i obcojęzyczne opracowania, w których znowu króluje moskiewski „Gipromet”. I to też jest ciekawe, i to też jest specyfika tej wielkiej budowy z jaką jeszcze nigdy w naszym kraju nie mieliśmy do czynienia. Składa się więc na nią twórczy wysiłek i umiejętności polskiego inżyniera i robotnika, ale także świadomy wybór zagranicznych partnerów z krajów socjalistycznych, jeszcze jeden element rozumnego międzynarodowego podziału pracy.

— Myślę, że już pan zrozumiał redaktorze, dlaczego się tak spieszymy?

Tak, nie chodzi tutaj o rekord. W roku 1976 z Huty „Katowice” popłynęły pierwsze tony stali. Jest to tempo jakie odnotowują tylko najlepsi, wyspecjalizowani w takich budowlach. Ale jeszcze raz powtórzmy — nie chodzi tutaj o wyścig, o to, by jak nikt dotąd, w takim właśnie czasie, wpaść na metę wyścigu inwestycyjnego. Chodzi o to, by dać krajowi nową szansę, otworzyć możliwości zaspokojenia potrzeb, może nawet jeszcze dziś nieprzeczuwalnych, ale które muszą być zaspokojone.

Rankiem dziesiątki autobusów i samochodów przywożą ludzi pod bramę budującej się huty. 20 tysięcy robotników różnych specjalności podejmie niebawem pracę. Ta huta to też jest ich nadzieja, choć nie chodzi tutaj o robotę, bo takiej na czarnym Śląsku nigdy nie brakowało. Nowoczesne konwertyory tlenowe Huty „Katowice” nie będą wyrzucały w ślaskie niebo tej zawiesziny, która jak niestanny smog leży nad Śląskiem. 60 wysłużonych pieców w starych i spracowanych śląskich hutach pójdzie na emeryturę.

I to też coś znaczy.

Także dla człowieka.

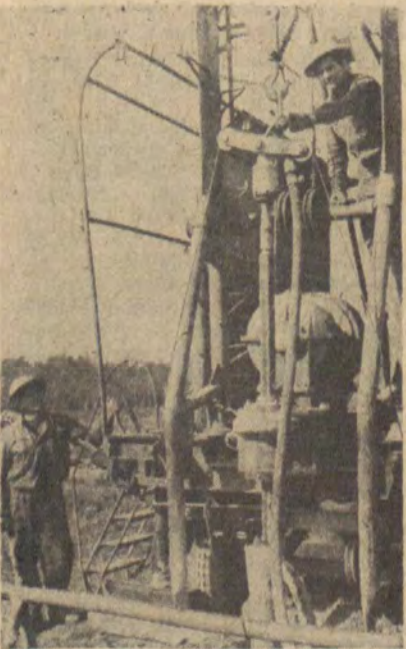


Foto: CAF

KRZYSZTOF POGORZELEC NARODZINY KOŁOSA

przedsiębiorstw budowlanych i montażyowych zamienia miliony w konkretny kształt huty jakich niewiele

W roku 1974 świat wyprodukował 710 mln ton stali, a przewiduje się, że w nadchodzącym pięcioletnim rozmiarze światowej produkcji w tej dziedzinie dojdzie do 910 mln ton. Licząc na 1 mieszkańca, zużycie stali w świecie osiągnie niebawem 210 kg, przy czym w krajach socjalistycznych dojdzie do 700 kg, w państwach należących do EWG — przekroczy 720 kg, w USA — 730 kg, a w Japonii — 1100 kg. Tak więc w tej dziedzinie dotrzymujemy tempa światowej czołówki.

nacisk cywilizacji technicznej na rynek, na potrzeby konsumenta jest tak duży, że aby dotrzymać kroku światowej czołówce musimy „a przestrożeni nadchodzących pięciu lat wydać aż 280 miliardów złotych na nie innego jak właśnie na budowę polskiego hutnictwa, hutnictwa z prawdziwego zdarzenia.

Siedzę w drewnianym baraczk. napojony po dziurki w nosie kawą, zapisuję stroniczki notosu ciągle nowymi informacjami, nie tylko o nowej Hucie „Katowice”, ale w ogóle o sytuacji w jakiej znajduje się akurat teraz całe polskie hutnictwo. Tak więc w gruncie rzeczy pięć podkrakowskiej dzielnicy, a i te spod Częstochowy to był tylko angielski plaster na nasze nagniotki. Huta „Batory”, „Kościuszk” — wszystko to było bardzo dobre i wystarczało jeśli patrzyliśmy na czasy i warunki, a i potrzeby lat trzydziestych.

— Bo, panie redaktorze, co tam są i za piece...

Rzeczywiście, dawne giganty jakoś skarlały, nawet największe obiekty podkrakowskiej Huty im. Lenina nie wyglądają już tak okazale, a przecież mam w pamięci jeszcze inne fakty i liczby i właśnie te 280 miliardów złotych ma postawić polskie hutnictwo na nogi, ma sprawić że konstruktorzy, robotnicy budujący nowoczesne maszyny przestaną narzekać na jakość krajowych odlewów, na to, że stal już nie jest „taka”...

— Niech pan jednak nie patrzy tylko tak globalnie!

„BUREK” czyli GRANICE AUTENTYZMU

„Nie daje mi spokoju ten pies — prosiak Burek. Domaga się wspomnienia... Prawda, Burku, pamiętam — stratawałeś jęczmień i splamiłeś mi spodnie zabłoconą łapą. I w usta mnie liźnałeś, doprawdy niezręcznie. Lecz uspokój się — zrównam Cię ze starą szkapą. Sprawiedliwie odmierzę, masz czarne na białem! Ciebie tylko jednego spośród psów kochałem...”

(Stanisław Czernik — „Pies — Prosiak”)

Jeżeli staniemy na poczciwym arystotelesowskim stanowisku, że nasza poznanie ma charakter bierny (bowiem wynika z działania przedmiotów na zespół naszych zmysłów, na naszą „powierzchnię czuciową”), którego resztą współczesną edycją jest leninowska epistemologiczna „teoria odbicia”, natomiast akty naszego pożądanja, naszej woli mają charakter



Fot. Włodzimierz Paryś

czynny, polegają bowiem na dążeniu ludzi do przedmiotów, działania ludzi na przedmioty — jeżeli zatem staniemy na tym przedstawionym tu w sposób nieco uproszczony, stanowisku — wtedy niejednej troski przysporzą nam sprawy autentyzmu, którego koryfeuszem był zmarły przed pięciu laty poeta Stanisław Czernik. Człowiek doznaje uczuć sferą tych uczuć — uczuć zapamiętanych, istnieje bowiem zdolność psychicznej notacji i reprodukcji uczuć — sprawdza składniki świata poetyckiego, to znaczy zespołu przedmiotów funkcjonujących w jego wierszach.

Troska o autentyzm wobec tych koncepcji wynika właśnie z, jak się wydaje, nadmiernej potęgi figur w rodzaju owego Burka, z roszczeń owego Burka, z jego wobec poety wymagań. Gdzie są granice zobowiązań poety wobec psa — Burka, który stawia sprawę prosto z mostu, domaga się, żąda z właściwą sangwinicznym temperamentem bezpośredniością (psy niewątpliwie są sangwinikami).

Otóż poeta, kiedy jeszcze był dzieckiem, poznawał różne zwierzęta: psy, konie, myszki, przedmioty — wozły, stoły, pługi, twory świata botanicznego: siliwy, wierzyby, buki. Poznawał te przedmioty, drzewa, zwierzęta i zapamiętał je czule — bowiem silne działały na zmysły dziecka będącego już wtedy poetą — poetą jeszcze nieujawnionym zapisami poetyckimi. Poeta urodził się w określonej wiosce, mieszkał, pracował, pisał i tworzył swoje koncepcje pisania w określonym mieście. Był człowiekiem, jednostką — reprezentantem określonego narodu, zawodu, klasy społecznej — posiadał osobnicze cechy cielesne, psychiczne, osobnicze sprawności i osobnicze niedomogi. Uzalednił się od kręgu spraw indywidualnie poznanych oraz indywidualnie pamięci uczuć sprawdzonych. Poza zasięgiem wrażliwych zmysłów poety istniał przeogromny, wielowarstwowy świat — jakie szanse na wstęp do świata poetyckiego poety autentysty miał niedźwiedź himalajski, ośmiornica, mątwka, drzewo chlebowe, hinduski niedzarr, angielski gentleman, największa i najmocniejsza gwiazda dostrzeżona przez teleskopy. Czy świat, którego poeta oświadczył, prywatnie niejako, nie doświadczył, ma być pozbawiony jego opieki, ocalenia, którego moc posiadają jego wiersze. Uchylam czoła przed dokonaniami autentyzmu — jest to jednak zarazem gest szacunku, jak i ukłon poeznania.

BERNARD SZTAINERT



EUROPA

Jak zwiedzić Europę za 100 dolarów? Najpierw potrzebna 40 zł, aby kupić książkę pod takim tytułem. Po jej przeczytaniu okaże się, że dolarzy się rozmnożyli do 130. Okaże się również, ile trzeba zapłacić (już w złotych polskich) za bilet, za paszport, za wize... Ale poważnie.

Ten kieszonkowy — i bardzo syntetyczny — bedeker jest informatorem i jest

książeczką potrzebną i bardzo cenną. Zawiera bowiem wszystkie konieczne i podstawowe informacje jak zaplanować i zrealizować turystyczną wyprawę na Zachód za stosunkowo niewielką kwotę.

Książeczka Teresy Toruńskiej i Andrzeja Górkoła zawiera w sobie elementy instrukcji celno-dewizowych, przepisów paszportowych, rozkładu jazdy kolei i lotów, informacji turystycznych, a na dodatek przynosi około czterdziestu mapek i planów miast. Znajdziemy tu adresy setek europejskich campingów i schronisk młodzieżowych, ceny benzyny, adresy placówek dyplomatycznych PRL, przepisy drogowe w poszczególnych krajach... Słowem wszystko, co niezbędne dla turysty udającego się za granicę.

To pełne turystyczne kompendium wiedzy zawarte jest na około 300 stronach małego kieszonkowego formatu. Wydawnictwo znakomite i potrzebne.

Teresa Toruńska i Andrzej Górkoła „Europa za 100 dolarów”, Wyd. Sport i Turystyka, cena 40 zł.

ODNAJDIEM SIĘ SAM

Władimir Sawczenko, autor opowiadań i powieści fantastyczno-naukowych, urodził się w roku 1933 w Połtawie. Z zawodu jest inżynierem elektronikiem. Przez pięć lat pracował w Instytucie naukowo-badawczym, ale widać niezbyt miło zachował wspomnienia z tamtych czasów, bowiem środowisko naukowe przedstawił w swojej powieści wyjątkowo złodziejsko.

Sawczenko pierwsze opowiadania napisał jeszcze w czasie studiów, a pierwszą powieść „Czarne gwiazdy” przed 15 laty. Powieść „Odnajdziem się sam” należy do najlepszych w dorobku pisarstwa Sawczenki. Jest to historia młodego uczonego, który opracowuje metodę tworzenia sztucznych ludzi tzw. homunkulusów. Perypetie prawne, kryminalne i etyczne, jakie stąd wynikają, stanowią treść tej pasjonującej książki.

Władimir Sawczenko „Odnajdziem się sam”, Czytelnik, cena 32 zł.

DO GÓRY NOGAMI

Bardzo dziwna to książka, gdzie wszystko jest — zgodnie z tytułem — „do góry nogami”. Roman Tomczyk znakomicie opowiadał sztuki parodi i pastiszu; bawił się konwencjami literackimi, tematami znanymi z historii literatury... Na przykład opowiadał historię biblijną na opak — o Tomczyku Abel zabija Kainę. Albo dzieje Remusa i Romulusa opowiadał... gwarą góralską. Oczywiście były już takie próby w polskiej literaturze — tłumaczono mianowicie „Odyseję” na gwara góralską. Ale Tomczyk robi z tego zabiegą zabawę — nie traktuje tej powieści poważnie. Podobnie jak święta zabawa jest opowieść o Wawrzyszu — muzykancie, który nie umiera, jak u Sienkiewicza, lecz zostaje wielkim grakiem i kupuje sobie bilet, budząc sensację we wsi.

Książka Romana Tomczyka jest więc zabawą w literackie konwencje. Ale nie tylko. Tomczyk ma jakiś szczególny dar, który można określić jako słuch literacki i językowy. Świetnie trafia zarówno w styl „podrabianych” konwencji, jak i styl językowej egzotyki — (vide polsko-niemiecki język bohaterów opowiadania „Lisopsy”).

„Do góry nogami” jest książką pełną humoru, ale żeby tytułowi stało się zadość, ostatnie opowiadania tomu porzucamy tonem poważnym, czy wręcz dramatycznym.

Roman Tomczyk „Do góry nogami”, Wyd. Literackie, cena 17 zł.

PRAWDZIWI MĘCZYŻNA

O Franku O'Connorze mówiono, że był irlandzkim Czechem. Trzeba przyznać, że w tym komplementie jest sporo prawdy. Proza O'Connora charakteryzuje się czechowskim ciepłem, dyskretnym humorem i sympatią dla swoich bohaterów.

Frank O'Connor nazywał się naprawdę Michael O'Donovan, a pochodził z niezamożnej rodziny irlandzkiej. Po ukończeniu szkoły w Cork pracował jako bibliotekarz w Dublinie, potem był przez jakiś czas dyrektorem teatru — w latach 1921—1922 brał udział w walkach o niezależność Irlandii. Zaczął pisać jako dwunastoletni chłopiec w języku celtyckim. Zastąpił go później jako mistrz noweli, choć próbował poezji, dramatu, powieści.

„Prawdziwi mężczyźni”, to właśnie dwie nowele o życiu i ludziach irlandzkiej prowincji. O'Connor opisuje losy szarych, prostych ludzi, z ich specyficzną obyczajową, nacechowaną złością humorem. Prezentowane w tomie nowele mówią o perypetiach kochanków, których indywidualności nie mieszczą się w ramach poprawnej solidności mieszczańskiej i o tym jak bogobojna cnotliwość załamuje się w konfrontacji z prawami natury.

Franc O'Connor „Prawdziwi mężczyźni”, KIW, cena 6 zł.

GRUSZKI NA WIERZBIE

Najlepsze powieści układa samo życie. Te stara prawdę raz jeszcze potwierdziła Zofia Stulgńska, która w opasłym tomie spisała dzieje swego życia. Córka i wnuczka bogatych arystokratów carskich, potem obracała się w kręgach miedzywojennych elit, przeżyła zgon gen. Sosnkowskiego, żona dyktatora edańskiego przedziebierstwa, potem żona młodego dyplomaty, kochanka emigranta i pilota LOT...

Kazimierz Koźniowski pisze: „Autorka ma dość odwagi cywilnej, by w swoim szaleństwie wspomnieć o odrażających pruderii i totalności wobec siebie samej, mówić o trudnych, a nawet o dramatycznych problemach moralno-obyczajowych, będących wynikiem błędów wychowania i wpływu określonych środowisk”.

Zofia Stulgńska spędza lata 1911—1933 w Petersburgu, Finlandii, potem w Warszawie, Gdańsku, Paryżu, Bukareszcie, aby znów wrócić do Warszawy i Gdańska. Pamiętnik powieści „Gruszki na wierzbie”, to kapitalny obraz domu rodzinnego, życia w różnych warszawskich i gdańskich środowiskach, blask rządowych salonorów, przewrót majowy od kuchni, mechanizm załatwiania posad i robienia karier. Pasjonująca lektura!

Pamiętnik Stulgńskiej kojarzy się po trosze ze słynnymi „Stenogramami” Anny Jambor. Kazimierz Borowski. Tylko, że „Stenogramy” były literaturą, a „Gruszki na wierzbie” — samym życiem zaklętym w kształt literacki.

Zofia Stulgńska „Gruszki na wierzbie”, Wyd. Czytelnik, cena 40 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

DORADCA ANTYSEKSUALNY

Od jakiegoś czasu na łamach popularnego i świetnie redagowanego tygodnika, jakim są „Kulisy”, występuje w charakterze doradcy zlamanych serc dr Zbigniew Starowicz. Rubryka jest irytująca i odbiega od zawartości pisma, ale specjalnie mnie to nie dziwiło. Wiadomo, że każda gazeta ma jakieś poletko, na którym sięgają pozaredakcyjni specjaliści, i redakcja nie może — podobnie jak w wypadku ogłoszeń — brać całej odpowiedzialności za wyrażane tam poglądy. Zławsza, że dr Starowicz chroni pancerz poważnego Instytutu, którego jest pracownikiem.

Alle powody do irytacji są. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że udzielanie dobrych rad w skomplikowanych ludzkich sprawach nie jest rzeczą łatwą. Jeśli już jednak ktoś się na to decyduje... No, właśnie.

Dr Starowicz przyjął postawę komputera. Jeśli pisze do niego kobieta zakochana w żonatym mężczyźnie, nasz dzielny doradca wygłasza moralitet o rozbiciu rodziny, o ryzyku takich nieczystych związków, o tym, że to nieuczciwie i w ogóle be.

To wszystko prawda i dr Starowicz nie odkrywa Ameryki. Jeśli się jednak decyduje pisać o

tych sprawach, mógłby choć przez moment zatrzymać się nad dramatem ludzkich uczuć. Mógłby choć przez chwilę uświadomić sobie pokrośność i złożoność ludzkich doznań. To wszystko, co dr Starowicz napisał tej zagubionej i bezradnej kobiecie — ona już słyszała setki razy od rodziny i życzliwych przyjaciół. Przecież ludzie tak bardzo lubią moralizować, gdy chodzi o kogoś innego. Nasz dzielny doradca też nie wyszedł poza ten schemat.

Nasz dzielny doradca w ogóle nie wychodzi poza schematy. Gdy odpowiada kobiecie zakochanej w mężczyźnie starszym od niej o dwadzieścia lat, bąja o „kompleksie Elektry”, dowodzi, że „starszy partner jest archetypem ojca, przedłużeniem związku uczuciowego z ojcem”, nie dziwi się, że małżeństwo o dużej różnicy wieku odczuwane jest jako zakłócające normalny bieg rzeczy „zławsza w dzisiejszych czasach”.

Są to zwykłe banialuki i dziwie się dr Starowiczowi, że pisząc o sprawach ludzkich uczuć nie potrafi wyjść poza schematy.

Alle oto dr Starowicz wydaje książkę. Tak się wyspecjalizował w dobrych radach, że postanowił

je rozpropagować za pośrednictwem Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich. Gdyby nie data, głowę bym dał, że przedrukowano tu jakieś XIX-wieczne wyrzuty „lekarza domowego”.

Ta książka jest absolutnym kuriozum i cieszę się, że podobną opinię na jej temat znalazłem w publikacji Zygmunta Faleckiego w dodatku „Życie i Nowoczesność” dziennika „Życie Warszawy”. Co prawda Faleckiego atakuje z kolei Piotr Wierzbicki z „Literatury”, ale czuję się w tym tekście więcej chęci polemizowania z Faleckim niż znajomości tekstów dr Starowicza.

Piszę Falecki: „Nie chcę sugerować autorowi czymś się powinien zajmować, ale może jednak zająłby się czym innym. W żadnej dziedzinie nie można być fachowcem opierając się tylko na wiedzy teoretycznej, tym bardziej jeśli i ta teoria nie jest szczerze i w pełni nowoczesnej myśli naukowej”.

Święte słowa. Bo proszę posłuchać, co nam proponuje dr Starowicz w kwestii aktu miłosnego: „tego typu współżycie trwałe około godziny zupełnie wystarcza na okres 5 dni. Jeśli

trwa np. 2 godziny — okres przerwy może wynieść do 2 tygodni”.

Panie doktorze — a jeśli, strach pomyśleć — trwa cała noc. Co wtedy? Spokój na kwartał?

Dr Starowicz głosi tu piramidną bzdurę, rodem już nie z wieku XIX, ale ze średniowiecza. Mianowicie, że akt miłosny jest rzeczą grzeszną, jest złem koniecznym... A przecież, gdyby dr Starowicz nie zawlezał jedynie teorii, może by doszedł empirycznie do wniosku, że zbliżenie między dwójkiem ludzi jest pięknym, emocjonalnym przeżyciem, a nie odrażającym fizjologicznym zabiegiem.

No i — oczywiście — dr Starowicz wyrokuje, co jest zbrodnią i co nie, co jest patologią i perwersją, a co nie, Mój Boże — na szczęście kobieta i mężczyzna sami decydują, jaki rodzaj aktu miłosnego im odpowiada, i co uważają za dopuszczalne. Dr Starowicz stojący nad łóżkiem jako „ten trzeci”, naprawdę nie ma tu nic do roboty.

Najsmutniejsze jest jednak to, że z kulturą seksualną nie jest u nas najlepiej, że tego rodzaju publikacje są potrzebne... Ale, na skrzydła Amora! — nie takie przecież publikacje!

WIDOK

LEWYM OKIEM

A DLACZEGO?

Z okazji obchodzonego niedawno pięknego jubileuszu otrzymał „Przekrój” mnóstwo gratulacji i wyrazów uznania. Jak najstosowniej, Tym większa więc szkoda, że tak świetnego pisma nie można w żaden sposób czytać w pośpiechu czy gdziekolwiek, w poczekalni, a w domu też radzimy uważać: już przy trzeciej stronie mamy palce czarno-zielone granatowe, od farby drukarskiej, która nie trzyma się jakoś papieru i chętnie przenosi się na ciała sąsiadujące. Nie daj Boże przejechać dionią podczas czytania po łysinie, poprawić krawa lub mankiety, sięgnąć po kokosalkę czy jabłko. Wszystko od razu czarne: łysina, kołnierzyk i jabłko. Dla pań jest to kłopot podwojony, bo farba nie schodzi z palców bez szorowania, a razem z szorowaniem „spływa manicure. Może do każdego numeru dodawać papierowe rekawiczki? Może poprawić jakość używanych farb?

Bardzo udane jest przejście pod jezdnią przy Dworcu Fabrycznym — cieszymy się i jesteśmy z niego dumni. Tym bardziej przykre więc, że zapomniano o takim drobnym szczególe: przy żelaznych schodach, prowadzących z przejścia na powierzchnię, nie ma pochylni do wciągania wózków i rowerów. Mamy rozglądając się bezradnie, czekając na dzień telmena, który pomoże im wnieść wózek razem z dzieckiem. Gdzie są dziś dźwielemi? Jeśli są, to też im już strzyka w krzyku i wnieśnienie cudzego słodkiego cięzaru nie jest byle głupstwem. Dlaczego nie ma tych pochylni, dlaczego? Przy trzech schodkach, przy samym dworcu, są, a tutaj akurat nie ma!

Zawsze jest jakoś tak, jakby komuś w ostatnim momencie, na ostatnim odcinku, zabrakło oddechu i pomysłu. Potrafimy postawić wieżowiec w parę tygodni, ale gwóźdźka do powie-

szczenia obrazka musimy szukać dużo dłużej po wszystkich sklepach Łodzi. Ani gwóźdźki, ani młotków. Czy mamy to najprościej znaleźć w sklepie? Czy kupować w komisach? Czy tasienka — zwyczajna, bawelniasta tasienka, której nabycie nigdy nie stanowiło problemu — nagle stała się takim przeraźliwie wazkim gardłem gdzieś w przemysie, czy może w handlu, że jej w żadnym kolorze (bo już nawet z koloru zrezygnowałem) dostać nie można? Do czego mi tasienka? Bardzo prozaicznie: do podwiązania krzewów pomidorowych na działce. Ale przecież jej użyteczność jest wieloraka, a stopień skomplikowania produkcji chyba żaden. Wioło dlaczego nie ma tasienki?

Profesor Zieliński, który wykladał nam propedeutykę filozofii, twierdził, że w przyrodzie

nie dominuje prawo celowości, lecz prawo przyczynowości. Że zamiast „po co” należy pytać „dlaczego”? W ten sposób unikamy „postawy teleologicznej”, trudnej do pogodzenia z materialistyczną interpretacją świata. Ołóż nie pytam „po co są sklepy pasmanteryjne, skoro nie ma w nich pasmanteri”, tylko właśnie tak: „dlaczego nie ma pasmanteri w sklepach pasmanteryjnych”? Dlaczego w sklepach pod hasłem tysiacy drobniaków jest tych drobniaków około pół setki?

Profesor Zieliński mawiał jeszcze, że najdośćkliwszą, najbardziej zgodną z pojęciem mędrca postawę zajmuje dziecko, które zamęcza nas pytaniami „dlaczego”. Moje dziecięce pytania mają więc niezłą filozoficzną parantelę i tym się pocieszam, bo przecież nie nadzieję na odpowiedź. Dorosli nieczęsto potrafili odpowiedzieć na pytania dziecka — mędrca...

CWIEK

PROPOZYCJE

ZA TYCH CO W MIEŚCIE

Są tematy, które uparcie powracają na łamy gazet codziennych i czasopism i to w ściśle określonym cyklu. Zima, jeśli pada śnieg pisze się najczęściej o ponownym zaskoczeniu przez aurę, jesienią powracają temat „ciepłowniczki”, bo albo specjaliści od ogrzewania mieszkań spóźnili się, albo o czymś zapomnieli i choć na dworze wieje jesienią, chłodny wiatr, to z kaloryferów nie promieniuje upragnione ciepło. Wiosną zaś martwimy się wszyscy o przyszłe plony, bo wiosna albo mokra, albo sucha, albo dochodzi do upłynięcia remanentów śniegu. Najpłodniejsze jest jednak lato.

Latem więc po pierwsze — nie ma nic do picia, a jak już jest to tak ciepło, że aż żółdka skóra się z przykrości. Po drugie — latem niewiele można załatwić, jako że kompetentni ludzie albo jeszcze są na urlopie, albo się właśnie na urlop wybierają i nie mają zamiaru zajmować się żadnymi poważniejszymi sprawami. Po trzecie — z kupowaniem są też trudności, gdyż w wielu sklepach wiszą kartki papieru z napisem: „Z powodu urlopu personelu sklep zamknięty”. Po czwarte — w restauracjach też

remont oraz urlopy personelu, choć słomianych wdowców mrowie i każdy chciałby coś zjeść przynajmniej raz dziennie. Po piąte wrzesień — nawet czasu wolnego człowiek kulturalnie spędzić nie może, bo w teatrach, kinach, na wystawach itp. również urlopy. Jeśli jednak permanentnie powraca się do tych tematów, to nie dlatego, że są one łatwe, proste, ale przede wszystkim dlatego, że są one ciągle aktualne. Z latem w mieście jest tak jak z PKP. Pisać można na ten temat krytycznie aż do znużenia, a skutek z tego żaden.

No, bo proszę. Biorę ja do ręki najnowszy (lipiec — sierpień) numer „Kalejdoskopu” i co ja tam czytuję. Czytam ja tam, że Teatr Wielki będzie miał przerwę urlopową od 23 lipca do 13 września oraz że od 8 lipca do 17 gościć będzie na scenie soproki Opere Leśnej. I słusznie. Urlop to jeszcze dla zespołu nie jest, ale przecież znacznie lepiej występować w Sopocie niż w Łodzi. Skoro tak robią wszyscy, dlaczego nie miałby tego robić aktorzy i pracownicy Teatru Wielkiego.

Alle patrzymy dalej, Teatr Nowy ma urlop od 23 lipca do 31

sierpnia. Teatr Powszechny — od 21 lipca do 15 września. Teatr Ziemi Łódzkiej — od 1 lipca do 11 sierpnia. Tylko Teatr im. S. Jaracza urlop tak sobie podzielił, że kiedy nie się nie dzieje na dużej scenie aż do 4 sierpnia, to pracuje „7,15” i odwrotnie — zespół „7,15” idzie na urlop 4 sierpnia.

Smutne jest lato w mieście. W telewizji same seriale i aby polapać się w tym, kto, co, kiedy, z kim i w jakim czasie? — trzeba sporo czasu poświęcić i prowadzić dokładny dzienniczek telewizyjny. A poza serialami sporo wznowień z cyklu „Przeżyjmy to jeszcze raz”, choć nie zawsze jest co przeżywać. Inna rzecz, że TVP w trosce o równe prawa wszystkich województw w swoim programie zrezygnowała z programów lokalnych poszczególnych ośrodków, a wprowadziła w to miejsce „Obiektyw”. Nie jest to taki znowy zły pomysł, gdyby jeszcze do końca prze-myślano koncepcję „Obiektywu”, a także znaleziono dla niego przyzwoity czas emisji. Trzeba mieć teraz niemało samozaparcia, aby zaraz po pracy pędzić do domu tylko dla obejrzenia migawek z poszczególnych województw. Mam na-

dzieje, że może z czasem „Obiektyw” zamiast prezentacji poszczególnych województw zajmie się ich problemami, których jakoś nie brakuje, a których — jak do tej pory — raczej się unika.

Zwyczajno ze zmagania z latem wychodzi natomiast radio. O sprawach radia pisze się u nas raczej mało, albo prawie wcale, wychodząc z założenia, że radio słucha się na zasadzie szumu. Tymczasem radio konkurując z powodzeniem z TV, stale występuje z nowymi pomysłami. „Lato z radiem” nie jest wprawdzie pomysłem nowym, ale jest to pomysł dobry. Przede wszystkim jest to pomysł prosty: dużo dobrej muzyki, komentarz adresowany bezpośrednio do słuchaczy oraz bezustanne próby angażowania ich do udziału w tej audycji. I to się podoba.

Prostota tego pomysłu polega na tym, że zamiast szukać sposobu na lato, wręcznięto je do programu. Skoro już musi być lato, to uczynmy z niego punkt programu. No i mamy „Lato z radiem”, a nie lato w radio, tak jak mamy lato w telewizji, kinie, teatrze, gastronomii handlu i urzędach. Oby było więcej takich pomysłów i to nie tylko w Polskim Radiu.

MARCIN RODAK

ORŁY I SOKOŁY

Przed kilku dniami Telewizja Polska przypominała stary film polskiej produkcji pt. „Święta wojna”. I choć realizatorzy filmu wyraźnie zastrzegali się napisem, że prezentowali widzom sytuację urojone, nie mające żadnej analogii do naszej sportowej rzeczywistości, to dla mnie był to głos w dyskusji o sytuacji, jaka z niezwykłą ostrością wystąpiła w polskiej piłce nożnej. Był to jednak głos niezwykle ostrożny, gdyż rzeczywistość, do której film nie ma rzekomo żadnego odniesienia, jest bardziej brutalna.

W końcu w filmie nie się wielkiego nie stało. Jeden z graczy próbował przepięć innemu, ale ten drugi był nieprzekupny. Pobito sędziego. I wreszcie porwano młodego inż. Karwowskiego, kiedy jeszcze nie był inżynierem a tylko Grzesiem Walczakiem i kiedy mu nie śniło się, że zostanie Mikołajem Kopernikiem: czyli samym Andrzejem Kopczyńskim. Film kończy się słusznym zwycięstwem lepszej drużyny i tu rzeczywiście jego fabuła rozmiła się z rzeczywistością.

W rzeczywistości bowiem — jak chodzą suchy — PZPN rozważa zmianę regulaminu rozgrywek I i II ligi, dążąc między innymi do wyeliminowania takiej sytuacji, kiedy drużyny mające równą ilość punktów i będące zagrożone spadkiem, strzelają w nieograniczony sposób bramki i niebezpieczny sposób przeciwnikom. Jednym słowem chodzi o wyeliminowanie fikcji. Jaka będzie ostateczna decyzja PZPN trudno teraz przewidzieć, ale dobrze, że taka decyzja będzie.

Sytuacja bowiem w naszym piłkarstwie nie jest nawet już zła, jest przerażająca. Nasze orły i sokoły pozwalają sobie niemal na wszystko, rozumiejąc, że sympatia społeczeństwa jest przy piłce nożnej. Ze ludzkiej chciwości, aby nasze zespoły odgrywały decydującą rolę w mistrzostwach Europy. A zatem: Hulaj dusz! Na nas nie ma siły! I pozwalają sobie na boisko i poza boiskiem.

Tygodnik „Piłka nożna” opublikował bardzo smutną statystykę piłkarskich rozgrywek I ligi. Niestety na czele tej tabeli figuruje zespół LKS. Chodzi tu o słynne już 11 żółtych i 2 czerwone kartki. Ale okazuje się, że PZPN wysłał pismo interwencyjne do Zarządu LKS, a Marchewce i Kasalikowi kary przesunięto na następny sezon. I tak Marchewka nie może grać do końca sierpnia 1975 roku, a Kasalik nie może brać udziału w 4 pierwszych meczach Jesiennej rundy.

Poza tym — co godne jest szczególnej podkreślenia i to nie w sensie doświadczenia — na owych 13 wszystkich kartek, aż 8 łódzki zespół „użył” u siebie, na własnym boisku, pod „ochroną” własnych kibiców. Nie świadczy to najlepiej o pracy wychowawczej w klubie, ani o kibicach. Ale zło leży w tym, że na boiskach i poza nimi dochodzi do konfliktowych sytuacji. Zło leży w tym, że takie sytuacje kamufłuje się, że każe się kibicom wierzyc, iż na boisku bruka 11 rozkosznych młodzieniaszków, którzy mogą być wzorem dla całej młodzieży. A to jest po prostu nieprawda.

Poczucie bezkarności, z jakim niektórzy zawodnicy poruszają się na boisku, bierze się z poczucia bezkarności z jakim poruszają się w prywatnym życiu. Dopiero słynna już „sroga audyt” wywołała u wielu piłkarzy o sporcie szczerść i nagłe przypomnienie sobie, że były sprawy? Zmudy. Gadochy. Gita. Musiała. Luty. Bulzackiego (te prezentowałyśmy niedawno na tamach „Ogłoszeń”), że była „afera” Gorgonia, Szarmacha i Lazurówka. Ba, nawet na naszym własnym podwórku była „sprawa” między Janem Tomaszewskim a trenerem Grzegorzem Polakowem. Tylko że o tych sprawach pisało i pisał się półświatkami, aluzjami.

„Nie ma co ukrywać przed kibicami np. — pisze w „Piłce Nożnej” Krzysztof Metrak — że pewna część zawodników prowadzi tryb życia niezbyt zgodny z normami sportowymi”. I jako przykład wymienia Jerzego Gorgonia. W artykule redakcyjnym tejże samej „Piłki Nożnej” pisze się natomiast:

„Warto chyba przypomnieć sprawy, które nas bułwersowały w ostatnich dwunastu miesiącach... (i po ich bogatym rezerwie — przyp. B. M.) skandaliczne zachowanie Gorgonia, Szarmacha i Lazurówka (alkohol, awantury w pociegi za granicą) o powołaniu dwóch pierwszych do reprezentacji Polski na mecze w USA i Kanadzie”.

A może wreszcie można byłoby — w przyszłości oczywiście — dokładnie napisać, co zarzuca się sprawcom „afery” i inicjatorom różnych „spraw”? Bo z tych półświatków i aluzji można domyślić się wszystkiego i nieczego.

Orły i sokoły bują sobie po USA i Kanadzie, odpoczywają na obozach i przelotowo są do nowego sezonu. W Kanadzie — jak donoszą specjaliści wyśnawcy — orły i sokoły odzyskały formę, bo im przestała przeszkadzać amerykańska Polonia, która ich widać na rekach nosiła i sztywno sprowadzała. W Kanadzie zastanawiał sportowy reżim i orły i sokoły w pięknym stylu rozgrywały raczkujące piłkarzy z klonowym liściem na koszulkach. Gratulacje nie tyle dla orłów i sokołów, ile dla specjalnych wyśnawców, którzy w słowach pełnych zachwytów donoszą o przebieknej grze naszych chłopaków, aby na zakończenie napomknąć, że przeciwnik nie reprezentował nawet średniej klasy europejskiej.

Kazimierz Górski usiłował przekonywać, że tournée po USA i Kanadzie leży w planach przygotowania zespołu. Chciałabym mu wierzyć, nie mogę jednak oprzeć się podejrzeniu, że jest to tylko piękna turystyczna wycieczka, w czasie której wypada pokopać trochę piłkę.

BOGDA MADEJ



Dalszy ciąg ze str. 1

zzeniami 12 razy zmienili orbitę, 130 razy warunki lotu oraz przeprowadzili 800 seansów łączności z Ziemią. „Salut — 1”, po opuszczeniu go przez załogę, krążył jeszcze w przestrzeni kosmicznej do 11 października 1971 roku, prowadzony przez ośrodek kierowania lotami kosmicznymi w ZSRR, aż na dany z Ziemi sygnał wszedł w gęste warstwy atmosfery i spłonął.

Stacja orbitalna „Salut — 2” weszła na orbitę okołoziemską 3 kwietnia 1973 roku. Krążyła oddalona od Ziemi o około 250 km (perygeum 215 km, apogeum 260 km). Przebywała w przestrzeni kosmicznej do 28 kwietnia 1973 roku. Był to bezzałogowy lot radzieckiej stacji kosmicznej „Salut — 2”. Celem tego lotu było techniczne sprawdzenie udogodnień, jakie do rodziny „Salutów” wprowadzono w wyniku doświadczeń z „Salutem — 1”.

Stacja orbitalna „Salut — 3” wystartowała w Kosmos 25 czerwca 1975 roku. „Sojuz — 14” wystartował do niej 3 lipca 1974 roku z Pawłem Popowiczem i Jurijem Arturichinem na pokładzie. Przebywali oni w przestrzeni kosmicznej do 19 lipca 1974 roku. Po powrocie na Ziemię stacja nadal prowadziła automatycznie badania, sterowana przez naziemny ośrodek kontrolny. 23 września 1974 roku od „Saluta — 3” odłączył się pojemnik z wynikami badań — i wyładował na Ziemi. Stacja, która według pierwotnych założeń miała przebywać w Kosmosie tylko 90 dni, nadal samoczynnie prowadziła badania. Dopiero po starcie „Saluta — 4”, na sygnał nadany z Ziemi, „Salut — 3” wszedł w gęste warstwy atmosfery i spłonął.

Szef szkolenia radzieckich kosmonautów — gen. mjr pilot **Georgij Bleregow** tak określił, w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi PAP — M. Kuklińskiemu, zadania, jakie miała spełnić stacja „Salut — 3”:

— Do konstrukcji i wynoszenia stacji orbitalnej „Salut — 3” wnieśliśmy wiele udogodnień technicznych w stosunku do poprzednich stacji tego typu, np. nowy system zabezpieczenia funkcji życiowych kosmonautów i nowe baterie słoneczne. Częścią wyposażenia „Saluta — 3” była liczna nowa aparatura biomedyczna podtrzymująca wysoką kondycję fizyczną załogi”.

PIERWSZY KROK

Współczesny człowiek posiada już sporą wiedzę o swoim kosmicznym sąsiedztwie. Lądował na Księżycu. Przez wiele tygodni przebywał w przestrzeni kosmicznej. Wysłał sondy do innych planet. Sfotografował powierzchnię Marsa i Merkurego. A mimo to ma świadomość, że wszystko, co do tej pory osiągnął, to zaledwie początek, wstęp, że w poznaniu Kosmosu czyni dopiero pierwsze kroki. Dlatego też przed każdą wyprawą kosmiczną stawia się pierwszy cel: poznanie niebezpieczeństw, jakie nie-



sie z sobą przebywanie w przestrzeni kosmicznej. I każda nowa wyprawa w Kosmos przynosi nowe doświadczenia, nowe problemy do rozwiązania. A problemów tych jest całe mnóstwo.

Na przykład problem pozornie śmieszny: śmieci. Kosmonauta żyjąc i pracując w stanie nieważkości „produkuje” spore ilości śmieci. Co z nimi robić? Załoga „Saluta — 3” na przykład przed rozłączeniem się z „Sojuzem — 14” zabrała pojemniki ze śmieciami do przedziału orbitalnego pojazdu kosmicznego. Po odłączeniu się lądowika przedział orbitalny „Sojuz — 14” spłonął w atmosferze razem ze śmieciami. Ale już w „Salucie — 4” załoga wyrzuca pojemniki ze śmieciami prosto w... przestrzeń kosmiczną. Nie jest to jednak zaśmiecanie Kosmosu, gdyż pojemniki przyciągane przez Ziemię wpadają w gęste warstwy atmosfery i spalają się niczym meteory.

Konstruktorzy i programiści lotów kosmicznych stają jednak przed bardziej skomplikowanymi i trudnymi problemami. Jednym z nich jest niwelacja ujemnych skutków, jakie w organizmie człowieka wywołuje długotrwałe przebywanie w stanie nieważkości. Następuje wtedy zanik mięśni i utrata wapnia z kości. Niektórzy kosmonauci po powrocie na Ziemię nie mogli utrzymać się na nogach ani utrzymać nic w ręku.

Amerykańskim kosmonautom przebywającym kolejno w stacji kosmicznej „Skylab” zalecono przedłużać co-

Powierzchnia baterii słonecznych wynosi 42 m kwadratowe i w przeciwieństwie do „Saluta — 1” są one automatycznie kierowane do Słońca.

Konstruktorzy „Saluta — 4” dążyli do tego, aby mieszkańcom orbitalnej stacji kosmicznej zapewnić maksymalnie dobre warunki życia i pracy i aby były one możliwie zbliżone do warunków życia na Ziemi. Wnętrze stacji zostało na przykład pomalowane pastelowymi kolorami: zielonym, żółtym i błękitnym. Przed pulpitem sterowniczym ustawiono wygodne fotole, wyposażając je w elastyczne pasy, aby kosmonauci nie mogli „wyrzucić” z foteli. Pracują oni przecież i żyją w warunkach nieważkości.

Kosmonauci mają pod dostatkiem powietrza i wody. Na stacji jest 100 tys. litrów powietrza. Jest ono bezustannie oczyszczane z wszelkich domieszek, jakie pochodzą z ludzkiego organizmu i aparatów pracujących na stacji. Powietrze to jest stale poruszane, aby w jednakowy sposób wypełniało wszystkie pomieszczenia stacji. Specjalny, automatyczny system alarmowy czuwa nad bezpieczeństwem kosmonautów. Gdyby w jakiejś części stacji nagromadziły się szkodliwe gazy, natychmiast będą o tym powiadomieni kosmonauci.

Kosmonauci nie muszą ograniczać się przy picie wody. Posiadają jej odpowiedni zapas. Jednocześnie stację wyposażono w aparaturę odzyskującą wodę wyparowaną do powietrza stacji. Nie mogą się natomiast



mu w spaniu. Nim z Ziemi nadeszło zezwolenie na wyłączenie wentylatora, całą sytuację zbadano w bliźniaku, stwierdzając, że nie zakłóci to ani cyrkulacji powietrza w „Salucie — 3”, ani nie wpłynie na temperaturę.

BADANIA

Program badań, jaki ułożono dla załogi „Saluta — 4” jest niezwykle bogaty. Przeprowadzają oni eksperymenty techniczne, medyczne i przyrodnicze. Obserwują Słońce, dokonując jego zdjęć, Ziemię, a także niektóre rejony Galaktyki. Stacja „Salut — 4” wyposażona jest w teleskop rentgenowski, który umożliwia obserwację źródeł promieniowania X. Wyniki badań tego promieniowania przyczyniają się do wzbogacenia naszej wiedzy o gwiazdach neutronowych — pulsarach. Również badania Słońca dokonywane ze stacji kosmicznej wzbogacają naszą wiedzę, gdyż mogą być dokonywane w warunkach, w jakich nie przeszkadza atmosfera ziemską.

Niezwykle interesujące są doświadczenia przyrodnicze, przeprowadzane w „Salucie — 4”. Program tych badań nazwano „Oaza”. Chodzi o stwierdzenie, jak w warunkach nieważkości zachowują się rośliny, jak przebiega ich vegetacja oraz o znalezienie wstępnej odpowiedzi na pytanie, czy w przyszłości, w czasie długotrwałego lotu kosmonauci będą mogli uprawiać rośliny i korzystać z ich plonów.

Pierwsza załoga „Saluta — 4” zasadziła na przykład 36 ziaren grochu, ale zakiełkowały tylko 3. Dlaczego zakiełkowały tylko te 3? Ucznieli odkryli pewną prawidłowość. Otóż pozornie fakt bez znaczenia w stanie nieważkości, ale zakiełkowały tylko te ziarna, które tak ułożono, że korzeń skierowany był ku Ziemi, a kiełki w stronę sztucznego światła. Kosmonauci przywieźli na Ziemię 3 pędy grochu z łodygami i strakami. Będą one poddane szczegółowym badaniom.

Druga załoga „Saluta — 4” posadziła groch korzeniami w stronę Ziemi, a kiełkami w stronę światła i prawie wszystkie ziarna zakiełkowały. Posadzono również cebule, która też zakiełkowała.

„Salut — 4” posiada aparaturę badawczą, ważącą przeszło 2,5 tony. Jest to niezwykle skomplikowana aparatura, służąca do badań astronomicznych, technicznych, biologicznych, medycznych, a także do badań górnych warstw atmosfery oraz do dokonywania zdjęć Ziemi. Zdjęcia Ziemi pozwalają między innymi sprawnie odkrywać jej zasoby naturalne.

Kiedy Piotr Klimuk i Witalij Siewastjanow powrócą na Ziemię naszą wiedzę o Kosmosie i człowieku przebywającym w przestrzeni kosmicznej znacznie się wzbogaci. A wspólny lot „Sojuz” i „Apollo” otworzy nowy rozdział w badaniach Kosmosu, umożliwiając tym nie tylko niesienie sobie nawzajem pomocy w trudnych chwilach, ale też prowadzenie wspólnych badań i realizowanie wspólnych zamierzeń. Wśród nich na czoło musi wysunąć się budowa wspólnych stacji kosmicznych, bez których nie można sobie wyobrazić dalszego penetrowania Kosmosu.

Przy wspólnych inicjatywach, realność zbudowania w przestrzeni kosmicznej wielkich stacji orbitalnych, które mogłyby krążyć wokół Ziemi przez wiele miesięcy i lat, staje się coraz większa. Tym bardziej że trwają prace nad zbudowaniem rakiet, które mogłyby kursować wzdłuż trasy Ziemia — stacja i z powrotem. Zrealizowanie tych zamierzeń byłoby kolejnym krokiem w opanowaniu Kosmosu. Ale, aby ten krok można zrobić niezbędne są doświadczenia „Saluta” i wspólne wyprawy „Apollo” i „Sojuz”.

Zdjęcia Archiwum

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZWARTEY SALUT

dzienną gimnastykę. Pierwsza załoga „Skylaba” gimnastykowała się po pół godziny dziennie, druga — godzinie, trzecia — półtorę godzinę. Ale to wszystko okazało się niewystarczające. Załozdce „Saluta — 4” nakazano zatem 2,5-godzinną gimnastykę, wyposażając stację w specjalne urządzenia: fotel z pedałami i ruchomą bieżnię. Ruchoma bieżnia ma 90 cm długości i 40 cm szerokości. Umożliwia ona szybki marsz, bieg oraz... skoki w dal. A ponieważ ćwiczenia te odbywają się w stanie nieważkości, kosmonauci przypinają się do ruchomej bieżni specjalnymi, elastycznymi pasami, co z powodzeniem imituje ziemskie przyciąganie.

W ruchomą bieżnię wyposażony był też „Salut — 3”, ale okazało się, że przy niektórych ćwiczeniach stacja odchyliła się nieznacznie od toru lotu. Tylko przy biegu z szybkością 180 kroków na minutę nie było takich odchylen. W „Salucie — 4” wyeliminowano już wady ruchomej bieżni i kosmonauci mogą na niej ćwiczyć bez ograniczeń.

Załoga „Saluta — 4” otrzymała też specjalne spodnie — „czibis”. Skonstruowano je w kształcie harmonijki, a wspomagają one układ krążenia. W stanie nieważkości krew bowiem krąży inaczej niż w warunkach ziemskiego przyciągania i zadaniem spodni „czibis” jest zastąpienie przyciągania ziemskiego i zapewnienie właściwego dopływu krwi do dolnych części ciała.

MIESZKANIE W KOSMOSIE

„Salut — 1” ważył około 20 ton i miał pojemność około 100 m sześciennych. Dla porównania: pojemność „Sojuz” wynosi 9 m sześciennych, „Apollo” — 6 m sześciennych. „Salut — 1” posiadał 2000 przyrządów i 20 tablic rozdzielczych.

„Salut — 4” ma 21,4 m długości, maksymalną średnicę — 4,15 m, waży 18,9 tony, a wraz z przyrumowanym „Sojuzem” 25 ton. Jego pojemność wynosi również 100 m sześciennych.

myć wodą. Do mycia używają serwetek nasączonych specjalnymi płynami, a także ręczniki jednorazowego użytku. Gołą się elektrycznymi maszynkami. Zeby myją elektrycznymi szczoteczkami.

Dysponują żywnością zakonserwowaną metodą sterylizacji. Przechowują ją w lodówce, a podgrzewają w podczerwi. Zapas żywności został tak dobrany, aby można było zaspokoić indywidualne upodobania — oczywiście w ramach kosmicznych warunków. Dzienna porcja pożywienia zawierać musi 3 tys. kalorii.

Powierzchnia użytkowa „Saluta — 4” wynosi 35 m kwadratowych, co odpowiada w przybliżeniu naszemu mieszkaniu dla trzech osób, czyli dwóm pokojom z kuchnią. Takim — mniej więcej — mieszkaniem dysponują kosmonauci pracujący i żyjący w stacji orbitalnej.

POŻYTECZNY BLIŹNIAK

Krążący w przestrzeni kosmicznej „Salut” ma swego bliźniaka, wierna kopię na Ziemi. Tak jak w Kosmosie, tak i na Ziemi przez cały czas lotu przebywa w bliźniaku dyżurna ekipa i bliźniak realizuje w warunkach zbliżonych do kosmicznych identyczny program, jaki realizuje stacja orbitalna i jej załoga.

Nie jest to — jakby się mogło wydawać — zbytnia rozrzutność bądź zbytnia precyzność. Kosmonautom, startującym w Kosmos, gwarantuje się maksimum bezpieczeństwa. Ale przewidzieć wszystkiego nie sposób. W toku pracy, przy funkcjonowaniu tysięcy aparatów i przyrządów, mogą zaistnieć nieprzewidziane okoliczności, zaistnieć nieprzewidziane sytuacje. Nim podejmie się decyzję, nim wysła się w Kosmos odpowiednie polecenie, trzeba je sprawdzić i szybko zbadać w bliźniaku.

W czasie lotu „Saluta — 3” Paweł Popowicz poskarżył się Ziemi, że przeszkadza mu wentylator, który znajduje się w pobliżu jego pośladka, gdyż zbyt chłodzi, przeszkadzając

U PRZYJACIOŁ

Jednym z najbardziej poczytnych polskich autorów w Rumunii jest Henryk Sienkiewicz. Ostatnio wydano „Bez dogmatu”, które tutaj nosi tytuł „Anielza”, od imienia bohaterki książki. Ukazała się ona w wyjątkowo wysokim nakładzie — 162 tys. egzemplarzy i natychmiast zniknęła z półek księgarskich w Bukareszcie. Powieść przełożyła Elena Linta, znana tłumaczka literatury polskiej.

Już w najbliższych dniach zakończony zostanie druk dalszych polskich książek, m. in. pięć wydanie zbioru opowiadań Stanisława Lema „Cyberia” oraz Witolda Gombrowicza „Iwona, Księżniczka Burgunda”. Również w roku bieżącym do rąk rumuńskich czytelników trafi dalszych 10 pozycji, a wśród nich „Granica” Zofii Nałkowskiej, „Jeziro Bodeńskie” Stanisława Dygata, „Żywiec nad wielką rzeką” Wiktora Ostrowskiego oraz wybór twórczości Tadeusza Różewicza pt. „Poematy”. Dla młodych czytelników natomiast przygotowuje się „Porwanie w Tifluristanie” Wojciecha Żurkowskiego, „Otwór okna” Heleny Dehlerowej oraz kilka innych pozycji. Większość tłumaczy polskiej literatury rekrutuje się z wykładowców bucharszkiego Uniwersytetu. Do nich należą m.in. Elena Timofte i Mihai Mitu.

W bieżącym roku rozpoczął się w Kraju Rad I Wszechzwiązkowy Festiwal Amatorów Twórczości Artystycznej. Jest to impreza kulturalna o dużym zasięgu, finał której przewidziano na rok 1977. Obecnie ona wszystkie dziedziny sztuki — muzykę, śpiew, taniec, plastykę i literaturę. O tym przeglądzie ludowych talentów sekretarz zarządu Związku Pisarzy ZSRR — Jurij Wierencenko powiedział: — Aby w pełni uświadomić sobie rozmach i znaczenie tego najpowszechniejszego w naszej praktyce przedsięwzięcia kulturalnego-sławnego do łeb. Konkretne i efektywne działania w świetle klubach i domach kultury zajmują się w Związku Radzieckim 24 miliony osób, w tym 10 milionów uczniów i 14 milionów dorosłych — pracowników przemysłu, rolnictwa i in.

Są to utalentowani plastycy i aktorzy, poeci i muzycy, tancerze i śpiewacy. Nie należy już nikogo przekonywać, że wszelka twórczość amatorska czyni życie bogatszym i piękniejszym, urozmaica je i pomaga w pracy zawodowej.

W organizację festiwalu biorą udział wszystkie radzieckie związki twórcze — w tym i nasz związek. Wszystkim stojącym w szranki uczestnikom festiwalu sponiają z radością i pomocą również pisarze.

W tym celu ogłosiliśmy konkurs na jednokrotnie utwory dramatyczne, chcąc w ten sposób wzbogacić repertuar zespołów amatorskich, a także pomóc młodym nieprofesjonalnym twórcom. Ponadto organizujemy grupę ludzi piszących, które docierają do i spotykają się z młodymi twórcami i artystami, w ich miejscach pracy i zamieszkania w całym Kraju Rad.

W ostatnim okresie repertuar scen bucharskiej stolicy wzbogacił się o szereg nowych pozycji.

Na najznakomitszej bucharskiej scenie w Teatrze Narodowym im. Iwana Wazowa cieszą się nieśmiertelnym powodzeniem trzy sztuki: A. Ostrowskiego „Lase”, M. Gorkiego „Dzieci słońca” oraz włoskiego dramaturga E. de Filippa „Sobota, niedziela, poniedziałek”.

Teatr Młodzieży sięgnął po nieznane w Bułgarii sztuki B. Brechta „Człowiek pozostaje człowiekiem”. Na małej scenie tego teatru wystawiono utwór dramaturga W. Rozowa „Cztery kropki”. W teatrze dramatycznym „Sofia”, który niedługo otrzyma nowoczesny budynek prawie w centrum miasta, idzie przy pełnej widowni „Współczesna” komedia wierszowa, grana również w Polsce „Usterki nie są w naszym telewizorze” K. Sakoniego. W teatrze „Narodnej Armii” odbyła się premiera nowej współczesnej sztuki bucharskiej Jordana Jankowa pt. „Albena”.

Nas niewątpliwie zainteresuje sukces sztuki J. Stawieńskiego „Godzin szczytu”, wystawionej przez teatr satyryczny. W teatrze „Lza i śmiech” cieszy się na małej scenie dużym powodzeniem sztuka J. Przedzieckiego „Brylant”.

Rosja przełomu XVII i XVIII wieku odżyła w operze „Piotr Pierwszy” leningradzkiego kompozytora Andrzeja Piotrowa. Premierę tej muzyczno-dramatycznej kroniki zrealizował Teatr im. Kłrowa. Inscenizacja oceniona została przez krytykę jako ważne wydarzenie w życiu muzycznym Leningradu.

Kompozytor wykorzystał w utworze bogaty zestaw środków artystycznych od folklorystycznych notacji z czasów cara Piotra, po współczesne faktury orkiestralne i chorałowe. Przypominał w operze i stare pieśni żołnierskie i kantaty komponowane na dworskie uroczystości.

Autorami libretta i reżyserii, debiutującymi zresztą w tych rolach właśnie w „Piołrze Pierwszym”, jest dwójka znanych choreografów Natalia Kaskakina i Włodzimierz Wasiliew. W przedstawieniu, które prowadził „cierocin” orkiestra leningradzkiej filharmonii — Jurij Tiemirkanow, główne partie śpiewali Włodzimierz Morozow i Irina Bogaczewa.

Znany dziennikarz norwesk, Anders Bijuro, przejechał tysiące kilometrów po Związku Radzieckim. Pionem tej podróży była seria reportaży zamieszczonych w gazecie „Lerdags Extra”. Jeden z nich drukujemy poniżej.

1.

W kołchozie im. Czapaewa przesiedliśmy za stołem pięć i pół godziny. Ostatnie, co zachowałem w pamięci: przewodniczący obwozi nas granicami swoich ogromnych „włości” o powierzchni 16.500 hektarów i zamieszkałym przez 2.500 ludzi. Zgodnie ze starą tradycją życzył sobie wypić z nami strzemiennego. Jest to ostatni kielich przed wskoczeniem na siodła i poczworowaniem w ślad za uciekającym słońcem przez sięgającą pieców stepową trasę.

Nasz strzemienny wyglądał tak: na maski samochodów postawiono szklanki i butelki, a także chleb, pieczone kaczki, szynkę i ogórki. W ten sposób uczciliśmy w stepie nasze rozstanie.

Przewodniczącym kołchozu jest Aleksiej Szewczenko. Ma 44 lata, jest wysoki, mocno zbudowany i dobroduszy.

— Co o nas napiszesz?

Pytanie to zadaje mi dwudziesty raz, a ja znowu odpowiadam, że muszę najpierw przeczytać moje notatki i pomyśleć.

— Tak, tak, rozumiem to, ale co napiszesz potem? Chciałbyś jeszcze coś zobaczyć? Podobają ci się u nas?

Tak, ty mi się podobasz, Aleksieju Szewczenko. Podobają mi się wszyscy ludzie, z którymi spotkałem się tutaj. Byliśmy w ich domach. W każdym razie w większości tych domów byliśmy bez uprzedzenia. Na ogół w każdym mieszkaniu są dwa nieduże pokoje i mała kuchnia. Technik Piotr Parasotkin sam sobie wybudował dom przy niewielkiej pomocy kołchozu. Mieszkanie składa się z trzech pokoi, rodzina z sześciu osób. W podcieniu stoi „Moskwić”. Piotr i jego żona zarabiają razem 340 rubli miesięcznie.

Anna i Aleksiej Lisistrinowie zarabiają razem tylko 190 rubli. Niemniej każdego miesiąca odkładają 80 rubli, co wystarczy, żeby się mogli zwrócić do przewodniczącego kołchozu z prośbą o pomoc w nabyciu nowego „Ziguli”.

— Dlaczego ty, Aleksieju Szewczenko, nie kupiłeś sobie „Ziguli”?

— A dlatego, Anders, że na samochody jest kolejka.

— Uważam, towarzyszu Aleksieju, że ci młodzi ludzie powinni dostać swój samochód.

— Pomyślę nad twoim wstawieniem towarzyszu Anders.

Lisistrin ma 25 lat, jest pszczelarzem, jego żona 24 lata, pracuje w kołchozie. Lisistrina jest uczesana według wymogów ostatniej mody.

Z pewnymi wyjątkami mieszkania są umebowane ze spartaniska prostota, ale wszędzie widziano telewizory. Chodziliśmy do domu do domu, przebijając za pokój i braterstwo.

— Anders, co ty napiszesz?

— Wszystko w porządku, Aleksieju! Wszystko jak najlepiej!

2.

Mikołaj Bokij jest kierownikiem lotów w porcie lotniczym w Rostowie

nad Donem. Osiemnaście lat minęło od dnia, kiedy z powodu stanu zdrowia musiał zrezygnować z pilotażu. „Ale daliśmy sobie radę z samolotem — zapewniam. — Zwłaszcza, gdybym siedział z drążkiem samolotu takiego typu, na jakim latałem kiedyś.”

Mikołaj Bokij pamięta najdrobniejsze szczegóły walki powietrznej, która w konsekwencji przyniosła mu tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Zdarzyło się to 19 kwietnia 1943 roku. Na wysokości 3.000 metrów szło 14 niemieckich bombowców, a w ślad za nimi 6 myśliwców na wysokości 8.000 metrów. Do ich zadania należało oczy-

ścić jej wdzięczny. Zahartowała moją duszę.”

Najczęściej towarzyszył konwojom morskim płynącym z Zachodu. Loty musiał odbywać na niewielkiej wysokości, w mgłę i w ciemnościach. Nie wolno było utrzymywać łączności radiowej, żeby nie ujawniać położenia statków. Zbliżając się do konwoju należało wykonać umowny manewr samolotem, lub dać się rozpoznać ustalonym sygnałem świetlnym. Nieraz było to ryzykowne.

Bokij był dowódcą klucza, później dowódcą eskadry. Stracił 15 niemieckich samolotów. Ostatnie trudne za-

PÓŁNOCNA NORWEGIA — CICHY DON — SYBERIA

szczenie przestrzeni powietrznej nad Murmańskiem, żeby eskadra bombowców mogła zrzucić na port swój śmiercionośny ładunek.

W górę, w dół, skręt i znowu manewr. Samolot trzeszczy od przeciążeń. W dół — to morze, to ziemia! Wreszcie Bokij zmusił niemieckiego dowódcę klucza do lądowania, uszkadzając ogniem karabinów maszynowych silnik i skrzydło jego samolotu. Okazało się, że pilot nazywał się Mueller. O tym Bokij dowiedział się później. W tej ciężkiej walce powietrznej stracił jeszcze trzy niemieckie samoloty.

Mueller był nazistowskim asem lotnictwa, dumą Luftwaffe. Jak się okazało, miał w samolocie narty i w ciągu trzech godzin udało mu się znacznie oddalić od miejsca lądowania. Uciekał w kierunku Norwegii. Kiedy dokuczył mu głód, wstąpił do domu wieśniaczki, żeby wymienić jedwabny szalik na chleb. Jak tylko wyszedł z domu kobieta pobiegła do jednostki wojskowej. Zarządzono alarm i Mueller schwymano w pobliskim parowie.

Miesiąc później został stracony Bokij. Ciężko ranny wyładował na spadochronie na morzu. Leczenie trwało rok.

Gdy zaczęła się wojna, Bokij zdążył zaledwie skończyć szkołę lotnictwa wojskowego. Miał wówczas 23 lata. Urodził się nad Morzem Czarnym, ale służbę wojskową odbywał nad Północnym Oceanem Lodowatym. Czy okres aklimatyzacji był trudny? „Tak, oczywiście. Północ była surowa. Ale

danie otrzymał w październiku 1944 roku. Przeszkodził wówczas próbom ewakuowania drogą powietrzną niemieckich jednostek wojskowych z północnej Norwegii.

Jestem mu bardzo wdzięczny za tak aktywny udział w wyzwaniu mojej ojczyzny. On jest wdzięczny mnie: jego towarzyszyom walk, straconym nad Norwegią, pomagali mieszkańcy Finlandii.

Mikołajowi Bokijowi podoba się w Rostowie nad Donem. Jego córka skończyła wyższy zakład naukowy i pracuje jako inżynier, syn wkrótce także będzie inżynierem. Ułup spędza Bokij na rzecz, na swoim kuznie. A ja mogę zaświadczyć, że Don jest rzeczywiście cichy.

3.

Odbyłem małą przejażdżkę samochodem. Za kierownicą siedział 11-letni chłopiec. Sierioża Wasiljew przygotowuje się do zdania egzaminu na otrzymanie samochodowego prawa jazdy. Pięćosobową „Wolgę” manewruje bardziej sprawnie niż niejeden kierowca taksówki. Droga prowadzi przez park, w którym młodzież reguluje ruchem z nienaganną precyzją.

Co prawda, pozwolenie, które otrzyma Sierioża ma jedno „ale”. Rzecz w tym, że na razie nie będzie się mógł nim posługiwać. Musi poczekać do dnia, aż skończy 18 lat. Wówczas wymieni swoje prawo jazdy na prawdziwe, już bez formalności.

W Rostowie nad Donem jest siedem takich ośrodków, w których młodzież

uczy się prowadzić samochody. Na szynach stoi nieomal prawdziwy skład kolejowy, na łące — pasażerski samolot. „Wolga”, bez śladów awarii, jeździ wokół parku, w pobliskim zagajniku odbywają się zajęcia z zakresu pierwszej pomocy lekarskiej.

Wszystkie koszty urządzenia i eksploatacji tych miasteczek pionierów ponoszą miejscowe zakłady przemysłowe, pracując tutaj specjaliści, pomagają im milicja. Po miasteczku oprowadzał mnie komendant milicji Rostowa nad Donem — Borys Elisow. Zakres jego pracy obejmuje także tereny wychodzące poza granice miasta. Sprawuje opiekę nad terytorium równym, mniej więcej, trzeciej części powierzchni Norwegii i zamieszkałym przez cztery miliony ludzi.

Zagadnąłem go o sprawy przestępczości. Właśnie to było powodem dla którego prosiłem o umożliwienie mi spotkania z kierownictwem milicji. Jeśli chodzi o najbardziej dziś aktualne problemy na Zachodzie, a mianowicie o narkomanie, to Elisow powiedział mi, że od lat nie spotkał się z takim problemem. Prostytucja praktycznie nie istnieje. Pornografia? Nie ma jej. Pijaństwo? Zmniejsza się stopniowo. Przestępczość wśród nieletnich? Ten problem nie wyrasta ponad problem przestępczości w ogóle. Dzięki posunięciom socjalnym liczba przestępstw i naruszenia porządku publicznego systematycznie maleje.

Borys Elisow jest członkiem Komitetu Wykonawczego Okręgowej Rady Deputowanych Ludu Pracującego. Ma 51 lat, w czasie wojny był dwukrotnie ranny. Brał udział w szturmie na Berlin.

4.

Wokół Nowosybirsk, miasta liczącego dziś 1.250.000 mieszkańców, rozlokowano 200 obozów pionierów, wybudowanych przez zakłady przemysłowe.

Po wpisaniu się do księgi honorowych gości, obejrzałem pionierski obóz „Zielona Republika”, w którym spędza wakacje 650 dzieci w wieku od 10 do 14 lat. Pytam sympatyczną Marynę Gleninę, pełniącą służbę przy wejściu do obozu, co będzie robić po zakończeniu warty? „Z tatusem i mamusią, pojedziemy na wies”. Widać wyraźnie, że chce wykorzystać do maksimum wszystkie możliwości lata.

Kierownictwo prosi mnie, żebym wyraził opinię o obozie pionierskim. Odpowiadam, że bardzo mi się spodobał. Ale czy nie oczekiwano tutaj na szerszy wizerunek? Bo przecież dzieci z taką ogładą, tak schudnię i zdyscyplinowane spotyka się niezwykle rzadko. A jeśli już tak jest, to osiągnąć to nie jest łatwo. Zrozumiałem to z rozmowy z Andrejem Chokanowem, inteligentnym i poważnym 14-letnim chłopcem. Na moje pytanie, czy trudno jest utrzymać dyscyplinę i porządek, odpowiada: „Dzieci są dziećmi”.

50 lat temu nie było tu ani szkół, ani domów wypoczynkowych. Połowa ludności Syberii była niepiśmienna. No, cóż, osądźcie to proszę, sami.

Tłumaczył: JERZY CZECH

■ Na linii Moskwa — Waszyngton ■ Można zbudować świat pokoju ■ Ataki sił prawicowych

Podróż amerykańskiego sekretarza stanu — H. Kissingera do Paryża, Genewy, Bonn i Londynu umożliwiła jego spotkanie z min. A. Gromyko. Rozmowy zgodnie oświadczyli, że ich dialog był niezwykle konstruktywny. Jak wiemy, przedmiotem rozmów był postępowanie w rokowaniach strategicznych, SALT II oraz sytuacja na Bliskim Wschodzie.

Ostatnie dni przyniosły znowu zakłócenia w rejonie bliskowschodnim. Izrael zaatakował z morza obozy uchodźców palestyńskich, znajdujące się na terytorium Libanu oraz przeprowadził atak lotniczy na strefy przygraniczne. Liban wniósł w związku z tym skargę do Rady Bezpieczeństwa. Te wydarzenia potwierdzają pilną potrzebę trwałego uregulowania sytuacji, a droga do tego prowadzi przez wznowienie obrad konferencji genewskiej. O takiej możliwości rozmawiali Gromyko i Kissinger.

Według doniesień agencji amerykańskich — sekretarz stanu USA ponownie zamierza medlować między Izraelem i Egiptem, nakładając Tel Awiw do bardziej elastycznej postawy. Amerykanie — przyznaje „Washington Post” — coraz bardziej zdają sobie sprawę, że na Bliskim

Wschodzie „czas pracuje przeciwko nam i przeciwko naszym interesom”.

Genewskie rozmowy Gromyko — Kissinger zbiegły się z orędziem prez. Forda do Kongresu, w którym podkreśla on konieczność zrewidowania ubiegłorocznej ustawy o handlu. Przypominamy, że zawiera ona dyskryminacyjne postanowienia w stosunku do ZSRR. Ustawa ta — stwierdza prezydent USA — przynosi polityczną i ekonomiczną szkodę interesom Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze innym wydarzeniem na linii ZSRR — USA jest wspólny eksperyment w Kosmosie — lot statków „Sojuz” i „Apollo”. W chwili, gdy Czytelnicy mieć będą w ręku ten numer „Odgłosów”, a więc w dwie doby po starcie, nastąpić będzie zbliżenie i połączenie statków. Przez kolejne dwie doby kosmonauci radzieccy i amerykańscy realizować będą wspólny program, a potem każda z załóg własny. Lądowanie statku radzieckiego przewidziane jest na 21 lipca, amerykańskiego — na 25 bm. Celem wspólnego eksperymentu są badania naukowe, całe przedsięwzięcie urasta do miary symbolu pokojowej współpracy. Pomyślny rozwój sytuacji międzynarodowej sprzyja rozszerzeniu kontaktów naukowych,

wymianie doświadczeń oraz wykorzystywaniu osiągnięć naukowych w służbie człowiekowi.

Radziecki kosmonauta — H. Titow w wywiadzie dla agencji „Nowosti” podkreślił, że „przy współpracy z USA kierujemy się pragnieniem udostępnienia wszystkim narodom badań naukowych, uzyskanych podczas zdobywania Kosmosu”.

Przed kilku dniami w Warszawie podpisany został apel Światowej Rady Pokoju — II Apel Sztokholmski. Wzywa on do powstrzymania wyścigu zbrojeń po to, aby odprężenie jak najszybciej stało się nieodwracalne i zapobiegł międzynarodowy ład ekonomiczny, aby „można zbudować świat pokoju”. Jakże pięknie z literą i duchem tego apelu koresponduje wspólny eksperyment radziecko-amerykański w Kosmosie! Przecież w toczących się w różnych miejscach i gronach dyskusjach międzynarodowych nie chodzi o nic innego, jak tylko o bezpieczne i dostatnie życie narodów oraz wykorzystywanie zdobyczy nauki dla dobra ludzkości.

W ub. tygodniu pisaliśmy o sytuacji w Indiach, wyjaśniając przyczyny ogłoszenia stanu wyjątkowego, aresztowania polityków opozycyjnych i delegacji kilkunastu organizacji i stowarzyszeń, skrajnie wstecznych. Dalsze doniesienia z Delhi potwierdzają, jak bardzo zaawansowane były przygotowania do obalenia siły rządu centralnego Indry Gandhii. I tak np. w ścieżbie zdelegalizowanej organizacji szowinistycznej pod naz-

wą Narodowe Stowarzyszenie Ochotników znaleziono znaczną ilość broni, mapy wojskowe i tajne dokumenty oraz wykazy nazwisk i adresów pracowników aparatu państwowego. Rozpoczęła w czerwcu kolejna ofensywa sił prawicowych miała więc być na dalszym etapie wsparta działaniami militarnymi.

Śmiałe decyzje władz spotykają się z poparciem społeczeństwa indyjskiego. M.in. centrale związkowe zadeklarowały gotowość wspierania Indry Gandhii w jej walce z prawicą i o postępowe przeobrażenie społeczno-gospodarcze.

Obserwatorzy rozwoju sytuacji w Indiach są zdania, że stan wyjątkowy w kraju umiejętnie wykorzystywany jest przez rząd do przyspieszenia reform i przynosi jego premierowi wymierne już sukcesy.

Z nową próbą ataku prawicy spotkaliśmy się również w Portugalii. Celem jej było sparaliżowanie życia gospodarczego kraju i wywołanie podziałów wewnętrznych w Ruchu Sił Zbrojnych. Odpowiedzią na te zamierzenia jest m.in. powołanie nowych przedstawicielstw ludowych, które zwiększą rolę i aktywność mas ludowych w rewolucyjnych przeobrażeniach w kraju.

Indie i Portugalia, a wcześniej Chile, są przykładami, z jaką siłą skrajna prawica przeciwstawia się wszelkim postępowym zmianom.

WITOLD SŁAWSKI

LISTY Z KOLONII

Dzisiaj publikujemy listy Kasi (lat 8).

Uroczę listy małych autorów publikujemy z zachowaniem oryginalnej pisowni i interpunkcji.

KOCHANI RODZICE!!!

Zajęłam się szczęśliwie. Wiele co? Marzenie i Beatę moją nową koleżankę przedziurawiłam wazę. Pewnie chcieli im coś ukręcić. Te dziurki są małe. Zrobiłam guzikiem. Pamiętacie, żeby pisać do mnie na maszynie. Pozdrawiamcie Gulunia*) kochane. Mieszkamy w szkole. Jestem w 1 grupie. Nasza grupa mieszka w sali gimnastycznej. Jest tu 25 łóżek. Wszyscy sobie przysunęli łóżka. Ja z Beatką i Marzenką też. Mi się tu zaczyna podobać. Jeszcze nie zwiedziłam Krakowa. Tu są brudne tyłki. Tak mi się zdaje. Swoją tyłkę wytarłam w chustkę. Nasza pani jest starsza, ale bardzo dobra. Jutro zwiedzimy Kraków. My nie mamy ciepłej wody. Każą nam myć nogi w zimnej



wodzie. Higienistka sprawdzała nam włosy. Ja miałam czyste. Na tym już kończę. Myślę, że napisałam bardzo dużo.

P.S. Przyslij mi paczkę ekspresem opłaconą dwuczęściową. Przyslij mi książkę „Intrygantki”. Nie zapomnijcie o Dzienniku Ludowym.

Kasia
Caliuję Was
) Gulcio jest chomikiem Kasi — red.

KOCHANI RODZICE!!!

Nie jest mi tu za dobrze. Ciągłe chodzący na plac zabaw, na którym nie ma wcale cienia. Tylko same słonce. Jak mi się chce pić, to mi dają tylko wodę z kranu. Jak się kapaliśmy to po kąpiel. Jak się trochę wysuszyliśmy to wzięliśmy na dwór. Była wtedy brzydka pogoda. Kiedyś poszliśmy na taką górę. Ona jest przykryta skałami. Jedna dziewczynka Asia to spadła z tej skały i strasznie się pokaleczyła. Przyjeżdżcie do mnie proszę Was. Marzenka mama też dostała taki list. Jak Was poprosi o zabranie to zgódźcie się. Bardzo o to proszę. Przyjeżdżcie z Guluniem. Pa!!!

Duża buźka
Kasia

KOCHANY GULCIU!!!

Bardzo za tobą tęsknię. Czy się tobą opiekują? Gulciu, przyjadę do ciebie za niecałe trzy tygodnie. Kocham ciebie bardzo, ale na tym kończę.

Pa, pa, pa całusów 102
a jeśli się zmieści to 130.

P.S. I Caluję cię jeszcze raz bardzo mocno.

P.S. II Przepraszam za brzydkie pismo. Odpisz koniecznie natychmiast.

Kasia

KOCHANI RODZICE

Jest mi tu dobrze. Ten list piszę na ciżbę. Niedawno kapaliśmy się i teraz się suszymy. Mamusi, nie chodź po żądnych Okwiatach. Co robi Gulcio? Jak się czuje? Ja jestem zdrowa czego i Wam życzę z całego serca. Nieraz płacę za wami w nocy albo na ciżbę. Teraz też przed chwilą rzygałam. Z Krakowa do Witkowie



są 3 kilometry. Jak się dojeżdża nie wiem. Popytajcie ludzi. Przyjeżdżcie do mnie natychmiast. Ale koniecznie z Gulciem. Na tym kończę te kilka słów. Przepraszam za brzydkie pismo Mam nowe dwa ziołeczka. Są to 2 małe ślimaczki. Jeden ma żółtą skorupkę na czarne paski. Nazywa się „Lami”. Drugi imieniem Kasia” jest brązowy w białe cętki. Pozdrawiam Was i Gulcia serdecznie. Kasia.
P.S. Pozdrowienia od ślimaczków.

Fot. Włodzimierz Parys

WATERGATE (IV)

MACKI ADMINISTRACJI

Od początku maja 1973 roku nad Białym Domem zaczynają gromadzić się coraz ciemniejsze chmury. Są one niewątpliwie zwiastunem zbliżającej się burzy. Dla prezydenta i jego najbliższej świty sprawy przybrały zdecydowanie zły obrót. Nie na wiele się zdało „rzucenie ofiar na pożarcie” w osobach kilku wysoko postawionych funkcjonariuszy z Białego Domu, zwłaszcza, iż nie wszyscy oni pogodzili się z wyznaczoną im rolą. Pękł „pruski mur” Białego Domu (aluzja do ustąpienia Haldemana i Ehrlichmana). W krzyżowym ogniu pytań sędziego Sirici „puścili farbę” najwytrwalsi w milczeniu.

Przed prezydentem stanęła mroczna wizja poważnego kryzysu wewnętrznego, którego skutki można było przewidzieć, choć nie można było jeszcze ogarnąć ich zasięgu. Powstała paląca konieczność podjęcia kroków, które uniemożliwiłyby rozwój kryzysu w niepożądanym dla administracji kierunku. Nikt jednak, wraz z prezydentem, nie był zdecydowany co do tego, jakie powinny być to kroki. John Dean w swej słynnej rozmowie z 21 marca (fragmenty jej były już cytowane) wyraźnie sugerował prezydentowi jedynie w tych warunkach rozwiązanie. Powiedział:

„Panie prezydencie, urząd ten jest przeżerany przez rację i tę rację trzeba usunąć. Aby uratować prezydenturę, Haldeman, Ehrlichman i ja będziemy musieli powiedzieć wszystko prokuratorom i narazić się na konsekwencje w postaci więzienia”.

Dean przedstawił też Nixonowi długą listę współpracowników Białego Domu, którym w związku z Watergate groziło więzienie. Prezydent był wyraźnie zdumiony i poruszony. Zalecił Deanowi by udał się na wypocinek, gdyż jego nerwy są zbyt rozstrojone. Wkrótce zaś okazało się, że Haldeman i Ehrlichman namówili Nixona, by nadal ich chronił i poświęcił Deana jako kozła ofiarnego.

Tymczasem okazało się, iż w aferze Watergate pojawił się jeszcze jeden nowy element. Oto 27 kwietnia nadeszła zaskakująca wiadomość z Los Angeles z toczącego się tam procesu przeciwko Danielowi i Ellsbergowi. I Anthony'emu Russo to ujawnienie w 1971 roku tzw. Dokumentów Pentagonu. Też bowiem dnia 27 kwietnia Matthew Byrne, przewodniczący rozprawie, ujawnił, iż ministerstwo sprawiedliwości poinformowało go, że dwaj spośród skazanych sprawców włamania do Watergate, zorganizowali w 1971 roku także włamanie do biura psychiatry, u którego leczył się Ellsberg. Ludźmi tymi, jak się okazało, byli Hunt i Liddy. Kilkaście dni później, 11 maja 1973 roku tenże sędzia odrzucił skargę prze-

ciwko oskarżonym, oświadczając przed ławą przysięgłych:

„Postępowanie przeciwko Danielowi Ellsbergowi i Anthony'emu Russo zostało po 98 posiedzeniach sądu całkowicie wstrzymane, ponieważ zachowanie administracji czyni niemożliwym wydanie przez przysięgłych słusznego i bezstronnego wyroku”.

Sprawa, która była przedmiotem wspomnianego procesu, zaczęła się niezależnie od afery Watergate i wysłała na jaw rok przed włamaniem do komitetu wyborczego demokratów. 13 czerwca 1971 roku niemałe zaskoczenie ogarnęło czytelników „New York Timesa”. Oto na szpaltach tego najpoważniejszego dziennika amerykańskiego ujrzały ze zdumieniem po raz pierwszy publikowane — tajne i ściśle tajne dokumenty ministerstwa obrony USA, dotyczące wojny w Wietnamie. Z tej i następnych publikacji amerykańskiej i światowej opinia publiczna dowiedziała się m. in. jak rząd Johnsona zainicjował „incydent w Zatoce Tonkińskiej”, aby znaleźć pretekst do rozpoczęcia bombardowań terytorium DRW.

Opublikowane rewelacje zelektryzowały nie tylko wspomnianą opinię, ale również niektóre agendy rządowe. Do akcji przystąpiła natychmiast FBI i wkrótce źródło „Pentagon Papers” zostało ujawnione: znajdowało się ono w „Rand Corporation” w Santa Monica (Kalifornia) — największym z 12 ośrodków „trustu mózgów” Pentagonu.

Właśnie tam, w „Rand Corporation” dr Ellsberg pracował w dziedzinie zastosowania teorii prawdopodobieństwa w prowadzeniu działań wojennych. Początkowo ów matematyk należał do zagorzałych przeciwników agresji w Wietnamie, jednak osobiste przeżycia z pobytu w tym kraju, prawdziwe oblicze tej wojny, cierpienia ludności cywilnej, przeistoczyły go w przeciwnika tej interwencji. Aby więc odsłonić kulisy wojny wietnamskiej Ellsberg postanowił przekazać dokumenty, do których miał dostęp z racji swego stanowiska — prasie. Następnie dobrowolnie oddał się w ręce sprawiedliwości oświadczając:

„Oddaję się w wasze ręce za to co uczyniłem, chociaż nie uważam tego za przestępstwo”.

Skazanie Ellsberga oraz jego przyjaciela i pomocnika Russo w procesie im wytoczonym musiało być jednak dość problematyczne, skoro sąd najwyższy USA wydał 30 czerwca 1971 roku decyzję, w której zezwalał na dalsze publikowanie w dziennikach amerykańskich „dokumentów Pentagonu”, przy czym nie było mowy o zakwalifikowaniu czynu oskarżonych jako przestępstwa kryminalnego. Tymczasem stanowisko Białego Domu, CIA i FBI było jednoznaczne: aby zlikwidować niewygodne dla administracji naciski prasy, należy najpierw podważyć reputację dra Ellsberga i to zanim skazę go ostatecznie

na karę długoletniego więzienia. W tym celu rozpoczęto grę, w której rolę były podzielną.

Pewnego wrześniowego dnia 1971 roku do pasażerskiego odrzutowca odlatującego z Waszyngtonu do Los Angeles wsiadło dwóch mężczyzn w średnim wieku. Nie byłoby w tym nic zadziwiającego, bowiem wielu im podobnych wsiadało tego dnia do wspomnianego samolotu, gdyby nie... właśnie. Dokumenty ich były fałszywe, a peruki i nie podpadająca charakterystyka twarzy miała ukryć ich prawdziwą misję i osobowość. Byli to bowiem: agent CIA E. Howard Hunt i agent FBI — G. Gordon Liddy, którzy w kilka miesięcy później stali się współorganizatorami włamania do Watergate. Ale teraz ich celem było dokonanie czynu w najmniejszym stopniu kryminalnego, niż późniejsza akcja. Chodziło bowiem o dokonanie włamania do biura dra Le-wisa Fieldinga, psychiatry Ellsberga. W tym miejscu słowo wyjaśnienia, o tożsamości Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza wśród intelektualistów, jest bardzo rozpowszechniona moda na korzystanie z usług lekarza-psychiatry, co często stanowi „przepustkę” do kręgów tzw. „lepszego towarzystwa”.

Ze zresztą zawodowych wlamy-waczy, pod osłoną nocy, Hunt i Liddy przeniknęli do gabinetu lekarza i nie pozostawiając nigdzie odcisków palców przełaznęli wszystkie szafy i kartoteki. Ale po kilku godzinach wyteżonej pracy nie pozostało im nic innego, jak tylko zakłać szpetnie i zwinąć manaki. Akt choroby Ellsberga nigdzie nie było.

Materiały te mieli zamiar sfotografować, aby na ich podstawie sfabrykować dyskredytującą doktora: „Ellsberg Story”. Ponieważ nie udało im się to, zaraz po rozpoczęciu procesu przeciwko Ellsbergowi i Russo, w styczniu 1973 roku, Białe Domy zdecydowały się interweniować bezpośrednio. John Ehrlichman polecił więc do San Clemente, kalifornijskiej, letniej rezydencji prezydenta, aby tam porozmawiać z zaproszonym w tym celu sędzią Byrne. W czasie tej rozmowy człowiek z budzącym zaufaniem nazwiskiem (aluzja do nazwiska: Ehrlichman — znaczy po niemiecku „uczciwy człowiek”) zaproponował handel wymienny: sędzia powinien jak najszybciej doprowadzić do zakończenia procesu i skazania obu oskarżonych, za co otrzyma urząd szefa FBI. Byrne okazał się jednak bardziej uczciwy niż Ehrlichman to zakładał i odrzucił ona propozycję. W tej sytuacji zalecono FBI uchylenie wszystkich, co jest w jej mocy, aby w Los Angeles zapadł wyrok skazujący.

Federalne Biuro Śledcze, zostało więc upoważnione do stałej obserwacji osoby Ellsberga, podслуchiwania jego rozmów telefonicznych, kontrolowania jego korespondencji. Nie dostarczało to jednakże żadnego, obciążającego doktora materiału. Gdy zaś FBI miało poinformować sąd przysięgłych o wynikach swojego śledztwa, okazało się, iż nagłe wszystkie akta „zaginięły”. Niektóre z pośpiesznie przygotowanych „dowodów winy” niedowzmacniały świadczyły o tym, że je spreparowano. Cała sprawa nabrała jednak rozgłosu dopiero z chw-

lą ujawnienia afery Watergate. 30 listopada 1973 roku były doradca prezydenta, Emil Krogh przyszedł przed sądem federalnym w Waszyngtonie, do udziału we włamaniu do biura psychiatry leżącego Ellsberga. Został on następnie skazany na 6 miesięcy więzienia. W tej sytuacji sędziemu Byrne nie pozostało nic innego, jak podjąć decyzję o przerwaniu procesu.

Cel, jakim było skazanie Ellsberga, nie został zatem osiągnięty. Był to więc ciężki cios dla FBI i Nixona, tym cięższy, dla tego ostatniego, iż fiasko akcji skierowało podejrzenia o jej zorganizowanie również na osobę prezydenta. Silny niepokój Nixona znalazł swoje odzwierciedlenie w dyrektywie wydanej w dniu 5 maja 1973 roku, zgodnie z którą wszyscy byli i dotychczasowi współpracownicy prezydenta mieli obowiązek, z racji „narodowego bezpieczeństwa”, zachować całkowite milczenie zarówno na temat Watergate jak i afery Ellsberga, a przede wszystkim oświadczyć, że nie mieli żadnych kontaktów z Ellsbergiem. Nie na wiele się to jednak zdało. Ci, którzy rzeczywiście mieli coś do ujawnienia, zaczęli już mówić i trudno było teraz zamknąć im usta. Obejmujący 245 stron protokoł zeznań złożonego przez Johna Deana przed senacką komisją do badania afery Watergate, zawierał tak szczegółowe i rewelacyjne informacje, że przewodniczący komisji, senator Sam Ervin, zażądał, aby prezydent wystąpił przed komisją osobiście, w celu ustosunkowania się do zarzutów skierowanych osobiście przeciwko niemu. Prezydent odmówił jednak przybycia. tłumacząc to „konstytucyjną odpowiedzialnością” spoczywającą na jego osobie, która zabrania mu wypowiedziania się przed takim gremium, mimo to obiecał, iż w stosownym czasie złoży oświadczenie w tej sprawie. Dean tymczasem zwrócił się z prośbą o przydzielenie mu osobistej ochrony, wyrażał bowiem coraz częściej obawy o swoje życie. Wydaje się, że nie były one zupełnie bezpodstawne, z dyrektywą „5 maja” wiąże się bowiem dziwny i bardzo niejasny wypadek, który może wskazywać na to, iż ci, którzy zdecydowali się mimo wszystko, mówić, biorą na siebie bardzo ważne ryzyko.

Otóż szereg dzienników amerykańskich przyniosło 23 maja 1973 roku wiadomość, że republikański deputowany do Izby Reprezentantów, William Mills, otrzymał w 1971 roku na swoją kampanię wyborczą 25 tysięcy dolarów z tajnego funduszu, z którego finansowano później również włamanie do Watergate. Następnego dnia po ukazaniu się w prasie owej informacji, w miejscowości Easton (Maryland), gdzie mieszkał Mills, znaleziono go martwego w stodole. Oficjalne orzeczenie lekarskie podało jako przyczynę śmierci ranę postrzałową kłaki piersiowej. Nie stwierdzono, czy był to mord, czy też samobójstwo, niemniej pojawiły się pogłoski, iż Millsa zlikwidowano jako niewygodnego świadka.

ANDRZEJ BLAJER

HIPOTEZY (XIX)

ERICH von DÄNIKEN

ROBOTY „BOGÓW”

Podejrzewam, że nieznane istoty inteligentne nie dla czysto altruistycznych powodów wkładały tyle wysiłku w stworzenie człowieka, nowej rasy, i choć jeszcze nie jest to udowodnione naukowo, to można założyć, że „bogowie” przypuszczali, że na Ziemi mogą występować surowce, których im było potrzeba. Może było to paliwo konieczne do napędu ich statków kosmicznych?

Wiele wzmianek w tekstach wskazuje na to, że „bogowie” otrzymali zapłatę za swój udział w ukształtowaniu ewolucji człowieka. Exodus (25:2) wspomina o „podarku”, znaczenie którego można łatwo przeoczyć. Niemiecylu tłumaczy, specjalnie od Biblii, zapewnił mi, że „podarek” mógł oznaczać przedmiot, który trzeba podnieść lub też włożyć w coś innego. Oto, jak Mojżesz mówi na ten temat (Exodus 25:2-7):

„Mów do synów Izraelskich, aby mi zebrali podarek: od każdego człowieka, którego dobrowolnym uczyni serce jego, odbierać będziecie podarek mój.

A ten jest podarek, który będziecie brać od nich: złoto, i srebro, i miedź, i hiacynt, i szarłat, i karmazyn dwa kroć farbowany; i biały jedwab, i sierść kozia;

I skóry baranie czerwono farbowane, i skóry borsukowe, i drzewo sytym; Oliwe do święcenia, wonne rzeczy na cielek pomazania, i na wonne kadzenie;

Kamienie onychy, i kamienie ku osadzeniu naramiennika i napiersnika.”

Otrzymuje wiele listów, których nadawcy błagają mnie, abym nie interpretował tekstów źródłowych tak dosłownie. Jednakże przez dwa tysiące lat nasi przodkowie musieli być dosłownie to, co napisano w Biblii. Drogo by ich to kosztowało, gdyby ósmi-łili się poddawać coś w wątpliwość. Dlatego też teraz, gdy nikomu nie zabrania się dyskusowania o spornych problemach, roztrząsam wątpliwości i zadaję dalsze pytania.

Dla uniknięcia pomyłek została sporządzona szczegółowa lista podarków. Znajdujemy ją w czwartej Księdze Mojżeszowej (Numer 30:30-34):

„A tak przynieśliśmy mu na ofiarę Panu, każdy czego nabył, naczynie złote, zapyły, i manele, pierścienie, i naszyjniki, i lancuszki, dla oczyszczenia dusz naszych przed Panem.

Odebrał tedy Mojżesz i Eleazar kapłan ono złoto od nich z wszelakiem naczyńem z niego urobionem.

A było onego wszystkiego złota ofiarowanego, które ofiarowali Panu, sześćnaście tysięcy, siedem set i pięćdziesiąt sykwów od pułkowników i od rotmistrzów...”

A wzięszy Mojżesz i Eleazar kapłan ono złoto... wnieśli je do namiotu zgromadzenia, na pamiętkę synów Izraelskich przed Panem.”

Prawdziwy Bóg Izraela nie żądałby zapłaty w złocie i klejnotach za wszystko dobro wysłane swym dziełom. Z tekstu wynika także, że daniina nie była przeznaczona dla kapłanów, gdyż oni sami też zobowiązani byli zebrać i złożyć od siebie podarki. Czy podarki były ceną, której żądali „bogowie” za przekazanie ludziom dużego zasobu wiedzy?

Stare źródła stwarzają wrażenie, że „bogowie” nie zamierzali na zawsze pozostać na naszej planecie. Wypełnili swoje zaplanowane zadania i zniknęli na długi przeciąg czasu. Pomyśleli jednak o sposobie, w jaki mogli opiekować się stworzonymi przez siebie istotami w czasie swej nieobecności.

W czasie nieobecności „bogów” było rzeczą zwykłą, gdy jakiś prorok szukający pomocy i rady zwracał się do Pana, tak jak to omawia prorok Samuel (Pierwsza Księga Samuelowa 3:1):

„A pachole Samuel służył Panu przed Hall, a słowo Pańskie było drogą w one dni, bo nie było widzenia jawnego” (tzn. Bóg nie często odpowiadał).

Nowi ludzie nie byli pozbawieni opieki. Teksty mówią o sługach bogów, którzy pełnili służbę na Ziemi na rozkaz z góry, którzy opiekowali się ludźmi wybranymi i strzegli miejsc pobytu „bogów”. Czy ci słudzy, to były roboty?

Poemat o Gilgameszu opisuje dramatyczną bitwę stoczoną przez Enkidu i Gilgamesza ze strasznym potworem

Chuwawa, który z powodzeniem i sam strzegł boskich miejsc. Zdobył i kije, którymi Enkidu i Gilgamesz zasympali go, odbijały się od tego „błyszczącego potwora” nie czyniąc mu krzywdy, a z nim „drzwi” przemówiły „jako grzmot” ludzkim głosem. Sprytny Enkidu odkrył słaby punkt potwora Chuwawa i zdołał go pokonać.

Chuwawa nie był ani bogiem ani człowiekiem. Wynika to wyraźnie z tekstów opublikowanych w roku 1950 przez J. Pritcharda w „Ancient Near Eastern Texts” (Starożytne teksty Bliskiego Wschodu). Oto, co teksty te mówią o Chuwawa.

„Dopóki nie zabiję tego człowieka”, jeśli jest to człowiek, dopóki nie zabiję tego boga, jeśli jest to bóg, dopóty kroków swych nie skieruję do miasta... O Panie, (zwracając się do Gilgamesza), ty który nie widziałeś tej rzeczy, nie napelnią cię jesteś strachem. Ja, który „człowieka” tego oglądałem, pełen jestem bojaźni. Jego zęby są jako zęby smoka, jego twarz jest jako twarz lwa...”

Czyż opis ten nie jest opisem robota? Z robotem tym przyszło walczyć bohaterem eposu. Czy Enkidu zdołał odkryć, gdzie znajduje się dźwignia, przy pomocy której można było wyłączyć urządzenie i czy w ten sposób przechylili szalę zwycięstwa w nierównej walce na swoją korzyść?

Inny tekst klinowy przetłumaczony przez N. S. Kramera, również pozwalał podejrzewać, że sługa bogów był także zaprogramowanym robotem.

„... ci, którzy tej towarzyszyli — bogini Inannie — to istoty nie znające pożywienia ani wody; nie spożywające pokłków ani nie pijące podanej im wody...”

Sumeryjskie i asyryjskie tabliczki często mówią o istotach, które „nie jedzą pożywienia i nie piją wody”. Czasem te niezwykle stworzenia nazywane są „latającymi lwami”, „smokami dyszącymi ogniem” lub „błyszczącymi oczyma boga”.

W greckich mitych również spotykamy strażników pozostawionych przez bogów. Mit o Herkulesie opowiada o lwie, który spadł z Księżycy i nie mógł być zraniony „żadną ludzką bronią”. Inny mit opowiada o smoku, którego oczy nigdy nie spały i którego bronią był „ogień i straszne szczytanie”.

Roboty spotykamy również w Biblii. Kim bowiem jeśli nie robotami byli aniołowie, którzy uratowali Lotę i jego rodzinę przed zagładą Sodomy i Gomo-

ry? W jaki też inny sposób mamy rozumieć wzmiankę o „ramionach Boga”, które pomagały w bitwach narodowy wybranemu? Możemy mówić o aniele, który służył mu na rozkaz Boga (Exodus 23:20-21):

„Oto ja posyłam Anioła przed tobą, aby cię strzegł w drodze i wprowadził cię na miejsce, którym cię zgotał. Ostrożny bądź przed oblicznością tego; a słuchaj głosu jego; nie drażnij go, boć nie przepuści przestępstwa waszemu, gdyż imię moje w nim jest.”

Według mnie jest rzeczą logiczną, że umysł i imię konstruktora robota „w nim jest”, jak też to, że nie może on nigdy odpaść od swego programu.

Jestem przygotowany na to, że teorie, które przedstawiłem w tej książce, będą ostro atakowane. Nieznane istoty inteligentne miałyby położyć kres fałszywej wierze i nienaturalnym praktykom seksualnym? Nowy gatunek człowieka miałby otrzymać pierwsze nauki dotyczące cywilizowanego życia w społeczeństwie od tych istot inteligentnych? Istoty te, po wykonaniu swych zadań, miałyby ponownie powrócić do kosmosu pozostawiając strażników do pilnowania nowych ludzi? Strażnicy ci mieliby być robotami czy automatami?

W mojej książce starałem się wyodrębnić aktualną kiedyś rzeczywistość, która leżała u podłoża mitów, legend i tradycji. Jednym wspólnym jądrem tych wszystkich opowieści jest to, że mówią o tym jak przybyli „bogowie”, oddzieleni od istot nieczystych rasowo, uduchliwili im wszelkiego rodzaju nauki, po czym zniknęli na zawsze lub tylko na jakiś czas. Nie jest także przypadek, że to, że wiele z tych opowieści podkreśla, że jednostki czasowe stosowane przez człowieka nie mają zastosowania do bogów.

Okres życia jednego pokolenia jest tylko chwilą, dla boga Wisznu. Każdy z legendarnych prehistorycznych władców chińskich, którzy jeździli po niebie na ognistych smokach, żył przez 18 000 lat ziemskich. A Stary Testament tak to ujmuję w jednym z psalmów (Psalm 90:4):

„Albowiem tysiąc lat przed oczyma twymi są jego dzień wczorajszy, który przeminał, i jako straż nocna.”

Opracował:
B. KRAKOWIAN

OPOWIADANIE

Nerwy. Palec zeszła się z tarczy i musiałem kręcić od nowa. Nim po drugiej stronie przewodu odezwał się głos, gorączkowo szukałem ubezpieczeń. Zawsze mogę powiedzieć, że chodzi o niego... Męczy się, rozpaczka, choruje... Trzeba mu pomóc...

— Słucham.
— Baska?
— Tak.
— Zgadnij kto mówi?
— Nie wyglądasz się. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.
— Nie wierzę — powiedziałam to-
nem, który sugerował, że wierzę.
— Ty draniu...
— Chciałem cię lojalnie uprzedzić, że
nie dzwonił w jego sprawie.
— Wtem.
— Skąd?...
— Pausa.
— Przyjeżdżasz?
— Gdzie?
— Do mnie.
— Pausa. Ale byłem już spokojny.
— Kup po drodze butelkę wina —
powiedziałem.
— I co będziemy robić?
— Nie mam także papierosów.
— Jakże?
— Extra mocne.
— Z filtrem?
— Bez filtra.
— No to czekaj.

Odkryła słuchawkę, a ja wykona-
łem przed lustrem taniec radości.
Potem wszedłem do łazienki, wyka-
pałem się, natarłem do krwi ręcz-
nikiem. Zrobiłem w pokoju jakiś taki
porządek, przyciemniłem światło,
włączyłem płytę z Tomem Jonesem.
Czekałem. Pierwsza godzinę spokoj-
nie, druga — niecierpliwie. Zadzwo-
niłem, ale nikt się nie zgłaszał. Więc
pomyślałem, że i przeczekałem na-
stępną godzinę. I nagle zacząłem wa-
rować. Chwyciłem płaszcz i zos-
tałem kluczem pod wycieraczką wy-
biegłem na osłoniętą ulicę. Hono-
ratka, Klub Studencki, Grand Hotel,
telefon z automatu, wreszcie Pałac
i jeszcze raz telefon. Wychoząc z
bramy wydawało mi się, że siedzi w a-
merykańskim krężelniku Wojtko
playboya. Kraciasty, czerwono-czarny
szal dookoła szyi, wysoka czapka z
norką. Ruszyłem naprzeciw, dławiąc
się ze wściekłości, ale Wojtek wci-
snął gaz i krężelnik zginął wolno
za rogiem. Żeby cię suko trafił
szlag. Wróciłem do Pałacu, wypitem
przy barze i zrozumiłem, że muszę
go natychmiast zobaczyć. Przyja-
cieł, prawdziwy, romantyczny, szlachetny.
Głupi jak stółowa noga przyjaciela.
Jadąc rozspuszczając się gablotą na
Chojny, doznałem ukojenia. Będzie-
my pić. Będziecie gadać o poetach.
Będziecie snuć czarowne plany na
przyszłość, a jutro przysniemy na ki-
lka dni do Warszawy, bo jest przerwa
semestralna i należy się nam małe
uroczniczenie...

— Nie mógłby pan trochę szybciej
— przynagliłem kierowcę.
— A on:
— Nie da rady, ale mogę trochę
wolnić.
— Miał wiatrak, zagłębiając się z
demonstracyjną niechęcią w czelusz-
kiotłbiste, że oświeconej uliczki.
Pod jedną w promieniu stu metrów
latarnia stał jacyś ludzie i kiedy
podkołowałismy do nich, na odleg-
łość spłunęła, grzyby całego świata
zwały się na mój nieszczęsny łeb.

— Zatrzymaj się pan! — powie-
działem.
— Tu pan wyskoczy?
— Nie. Ale zatrzymaj się pan!

Zauważyłem, że nie ma wcale kra-
ciastego szala, tylko kożuch ze stoj-
ką; zamiast norki — skromna, czar-
na, przewiązana po chłopku chusta.
On stał przed nią zgarbiony w tym
swoim czarnym, kusym paletku.
Kierowca zrobił się nagle miękki.
Poszukał mnie w lusterku i zapytał:
— Narzeczona?
— Tak.
— Z tagasem.
— Zgadza się.
— No to już! Jebnij pan frajera w
ryło!

— Nie. Zle się czuję — powiedział-
łem.
— To co robimy?
— Wracamy.
— Gdzie?
— Podałem mu adres w śródmieściu.
— Ja bym nie darował, uczyn-
nia! — wycedził z przyganą. A
potem już milczał, podczas gdy ja
pograżałem się w rozpacz — spo-
niewierany, zdradzony, gotowy z
miejsca popełnić samobójstwo, tyle
że nie wiedziałem jak.

— Wejść — powiedziałem.
— Nie zamykasz się na noc?
— Otwarte było?
— Tak.
— Siadaj.
— Co ci jest?
— Nic. Skulem się trochę.

rozsadzających czaszkę myśli, jakiejś
najgorszej chodby perspektywy, któ-
ra pozwoliłaby zabić czas do wieczo-
ra, a później upić się, zeszłać, za-
snąć, zrobić ten pierwszy, mały krok
na drodze zapomnienia. Lecz nie by-
ło już gdzie dzwonić, nie było do ko-
go iść. Jasne... wyjechali razem. Mo-
że śmieja się teraz ze mnie w po-
ciągu. Przyjacieli. I tak bez uprzedze-
nia. No dobrze, powiedzmy, że je-
stem lajdakiem. Ale nigdy nie uda-
wałem świętego. I nie zdążyłem zo-
bić mu jeszcze żadnego świństwa.

Poderwał mnie skrzyp dawno nie
ożywionych drzwi i nagle żelazna
obroża na sercu zaczęła tajać. Z
otchłani korytarza patrzyły na mnie
bez mrugnienia powieki czarne, ba-
dawcze oczy.
— Wejść — powiedziałem.
— Nie zamykasz się na noc?
— Otwarte było?
— Tak.
— Siadaj.
— Co ci jest?
— Nic. Skulem się trochę.

W domu jeszcze raz wzięłem ką-
piel. Długo przewracałem się z boku
na bok w przegrzanej pościeli. Nie
wiem, kiedy zasnąłem, ale obudzi-
łem się dopiero o dziesiątej. Krótki
rachunek sumienia, gimnastyka, znak
krzyża świętego na szczęście i tele-
fon...
— Halo, Brodecki — usłyszałem
ciepły, niski głos.
— Wtem i ja z dętym nazwiskiem:
— Horodecki.
— Pan w sprawie sernika?
— Nie. Chciałem mówić z Barba-
rą.
— A on:
— Basia wyjechała.
— Gdzie?
— Do Zakopanego.
— Jak stałem przy stole, tak usiad-
łem na poręczy krzesła. Zdołałem
jeszcze wydukać:
— Przepraszam bardzo — kiedy?
— Dziś rano.

Bez słowa odkrzyknęłam słuchawkę.
Zwalilem się w ubranu na tapczan-
ie i wcisnąłem głowę w poduszkę. Tak
że nie było mi jeszcze nigdy w ży-
ciu. Skonać! Szukałem rozpaczliwie
jakiegoś zaczepienia dla szalejących,

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SŁOŃCE ZASZŁO, ZERWAŁ SIĘ WIATR

(FRAGMENT OPOWIADANIA)

— Dzwoniłeś do Barbary...?
— Sondując, nieuchwytne oczy zbli-
żyły się i zastępy.
— Powiedziałem szybko:
— Tak.
— Po co?
— Jak myślisz?
— Nie nie myślę. — Westchnął,
ale tak jakos z ulgą, i usiadł na tap-
czanie w nogach. — Nie obchodzi
mnie: po co.
— Pogodziłeś się z nią?
— Nigdy się nie kłóciłem.
— Ale wróci do ciebie?
— Nie wróci.
— Więc nie ma sprawy, człowie-
ku!

— Jest! — I wybuchnął: — Nie
dzwonił do niej! Zostaw ją w spoko-
ju! Może jestem głupi i za dużo wy-
magam, ale gdybyś, no... gdybyś to
zrobił, nie mógłbyś, no... koniec z
naszą przyjaźnią, rozumiesz? Może
nie zależy ci zresztą...
— Ciii! — powiedziałem. I pomy-
ślałem: ty cholerny psie ogrodnika!
I powiedziałem: — Nie zadzwonię
żebym miał skonać! — I pomyśla-
łem: bo nie chcę, żeby znowu wysta-

wiła mnie do wiatru... I powiedział-
łem: — Jesteś dla mnie ważniejszy,
niż wszystkie siksy na świecie. — I
pomyślałem: poza tym jednym, jedy-
nym wyjątkiem. — I powiedziałem:
— Zawsze będę wobec ciebie lojalny.
— I pomyślałem: choć w tym wy-
padku jest to dęty, niepotrzebny gest
— I wrzasnąłem: — Cieszę się, dzie-
cinko, że przyszedłeś, kurde mol!
— Ja też się cieszę — powiedział.
I dodał uśmiech.

Po chwili, ja:
— Jedźmy jutro do Warszawy?
— Jedźmy.
— Na cały tydzień?
— Tak.
— Szufia! A teraz z miejsca na
gorzałę!
— Nie mogę. — Zerknął na zegar-
ek. — Przyszedłem wujkowi, że po-
mogę mu wykończyć sekretarz dla
ważnego klienta. Muszę wracać.
— No to już. — Wstałem i zdją-
łem z okna płaszcz. — Odprowadzę
cię do tramwaju. I pozdrów ode
mnie wujka, tak?

Zatrzasnąłem drzwi i wetknąłem
kluczek pod wycieraczkę. Spojrzałem
na niego; skłonił głowę. Rozumieli-
śmy się bez słów.

Na dworze letowe wietrzyko za-
duło nam w pyski. Łzawiac i przy-
trzymując czapki rękami brneliśmy
do przystanku. Było dobrze. Niby
tak samo jak zawsze, a lepiej. Po-
czulem wściekły apetyt, więc kiedy
odjechał, wszedłem do „Kaczki Dzi-
waczki” i wtrąbiłem trzy jaja na
szynce. Potem kino dla relaksu, jak-
iś radziecki kryminał; zasnąłem po
kroplach i wróciłem na ulicę rzęski
Sołżonij obłazd, ćwierćka sobie a
muzom w Pałacyku, codzienna dru-
godzienna nasładowka w „Honoratce”
no i pierwsza wędrowka do domu
bocznymi, ukochanymi uliczkami.

Pod wycieraczką nie było klucza.
Naciśnięcie klamki i drzwi ustąpiły.
Solew Toma Jonesa. Powiedziałem
głośno:
— Klawo, że wpadłaś!

W biegu zrzuciłem płaszcz.
Zanurzając się w czerwony, gęsty
mrok pokoju, zrozumiałem, że szcze-
ście także może chadzać parami.
Łańcuch niespodzianek trwał. Kilka
długich chwil minęło, nim zdołałem
wydobyć z siebie głuchy, związany
wzruszeniem głos.
— Co tu robisz?
— A ona takim samym głosem:
— Nie. Czekam na ciebie.

Spojrzała w okno. Podmuch wia-
tru szasał w szyby śniegiem. Od
kaloryferów szło ciepło. Na obla-
nym z farby parapecie, obok adap-
teru, którego tarcza wirowała jak
młyńskie koło w zaproszonej ciem-
ności, zobaczyłem butelkę
„Gellal” i nie napoczętą paczkę
Extra mocnych.

Przełknąłem ślinę. Nasze oczy
mierzyły się w milczeniu. Siedziała
a raczej leżała na nie pościelonym
tapczanie. Wydatne piersi pod nie-
winną, granatową bluzką; nogi
wsparte stopami o podłogę — pełne,
kształtne, lekko rozchylone w kola-
nach, obnażone do połowy uda i o-
pięte przezroczystą pajęczyną nylonu.

Pomieszane z radością zdziwien-
ie przechodziło szybko w ślepy, zwie-
rzęcy głód. W dole brzośna zawiązał
się bolesny węzeł. Pomyślałem: jeśli
nie teraz, to nigdy! I usiadłem na
tapczanie. Wziąłem ją za rękę, potem
za uległe gorące ramiona. Poczułem
zapach potu; zamknąłem oczy i śle-
dziłem go w powietrzu jak pies.

TURYSTYKA

JAK PODRÓŻOWAĆ PO EUROPIE?

W powodzi pozycji poważnych i
jeszcze poważniejszych, jakimi traktują
nas wydawnictwa, cieszyć musi każda
lżejsza — a zwłaszcza tryskająca humo-
rem książka. I taką oto humorystyczną
ręczną przygotowało dla nas wydaw-
nictwo Sport i Turystyka. A nosi ona
tytuł „Europa za sto dolarów”. Jej
autorzy napodróżowawszy się po Euro-
pie (jak wnoszą z treści samochodu)
poculi się powołani do udzielenia
światłych rad nieopierzonym turystom
wybierającym się na podbój Zachodu.
z niewielką istotnie sumką 130 dola-
rów w kieszeni.

Już na wstępie autorzy przypominają
nam, że „urlop nawet za granicą musi
być wypoczynkiem”, a także radzą by
„do dnia wyjazdu nie opuszczać nas
przeświadczenie, że podróż ta nie jest
ostatnią podróżą zagraniczną”. A po
przyjeździe?

Następnie wprowadzani jesteśmy w
świat wiz i paszportów. I w tym oto
rozdziale prócz prawd takich jak ta, że
paszporty wydaje Biura Paszportowe od-
krywa się nam prawda niezwykle cen-
na. Cytuje „...zaleca się osobom wyje-
żdżającym za granicę, by wklejać znacz-
ki opłaty paszportowej dopiero przed
przekroczeniem granicy. Pytanie uzu-
pełniające: moczyć językiem czy ma-
czalką?

Szczególnie interesujący wydaje
się rozdział „Środki lokomocji”. Oczy-
wiście gros uwagi poświęcone jest sa-
mochodom. Rozumiem, że autorzy nie
muszą znać innych sposobów zwiedza-
nia Europy, ale też i nie wszyscy tu-
ryści muszą używać do tego celu sa-
mochodu, nawet jeśli go posiadają,
tym bardziej, że autorzy przypomi-
niają, iż „na wyjazd samochodem — mo-
żna pozwolić tylko rutynowi kie-
rowcy i posiadacz polnosprawnych
wozów”. Ale uważa! Nawet najlepszy
kierowca powinien zapamiętać się w
międzynarodowe prawo jazdy. „Nowe
bowiem polskie prawo jazdy ważne
jest wprawdzie w większości krajów
europejskich, ale nie każdy policjań-
danego kraju o tym wie”. O nie uświa-
domiony policjańskie krajów zachodnio-
europejskich! Zależe wzruszający to
argument.

Tematyka samochodu wraca w roz-
dziale „Przygotowania do wyjazdu”.
Autorzy, przypominając nam nieusta-
jące, że za nasze 130 dol. niewiele
zdaliśmy, polecają nam wcześniejsze
zrobienie dokładnego przeglądu nasze-
go pojazdu. A który z rutynowych
kierowców nie czyni tego przed każdą
podróżą, nawet krajową podróżą?

Radzi się nam także wyczerpie-
nie, uszek... Szkoła tylko, że nasi
przewodnicy nie pokusił się o podanie
szerszych informacji na temat moż-
liwości jakie stwarza odpowiednie ubez-
pieczenie zdrowia jeszcze przed wyjaz-
dem. A o tym rzeczywiście mało kto wie.

A gdy już wszystko sobie wyleczy-
my, wkleimy znaczki, przypomnijmy so-
bie, jak mamy się zachowywać za granicą.
Nie bądźmy natrętni, szanujmy oby-
czaje gospodarzy — takie bywają te
ogórniki i czym się od naszych różnią,
tego się już z owej książeczki nie
dowiemy — no i nie wydawałmy pie-
niędzy na ciuchy, które „rwa się po
kilku dniach...”. Przypominam autorom,
że mało która Francuzka kupuje stroje
u Diora.

Nasyceń mnogością podobnych rad,
szukamy i takiego bogactwa informacji
w kolejnych rozdziałach traktują-
cych o poszczególnych krajach. Niestety
te są zaskakująco skąpe. Poza niektóry-
mi cenami np. wysokościami napiw-
ków podanymi bardzo szczegółowo (ca-
ły czas w kontekście naszych 130 dola-
rów), poza niektórymi adresami oraz
przypadkowymi zestawieniami trasami pod-
róży samochodem nie ma tu nic no-
wego. Brakuje wielu cennych wskazo-
wek dla tych, którzy zdecydowali się
wędrować pieszo np. po górach czy też
czterema kółkami. Brakuje wielu inter-
esujących tras, opisu zabytków... No
cóż trzeba wybrać albo na pewno czę-
sto rady w stylu „cioci Kłoci”, albo praw-
dziwy przewodnik. Jedno z drugim
trudno pogodzić. Autorzy wybrali to
pierwsze. A szkoda, bo sam pomysł
wydania takiej książki był doskonały.
Gorzej z realizacją.

KRYSTYNA BANASZEWSKA

Teresa Torńska, Andrzej Górkoł,
„Europa za 100 dolarów”. Wydawnictwo
„Sport i Turystyka”, W-wa 1975 s. 272.

FILM

MAŁA EASTWOODOLOGIA

Wzrost była do przewidzenia. Kino nie
może bowiem oprzeć się fall mody i dy-
namicznej naciśkowi. Jeśli lubi się
w świecie, musi być na bieżąco, musi
pauzować w momencie, który później będzie
odtwarzany, co ocalała się gdzieś indziej.
Następnie tego uogólniając, jak
wiadomo, traktować nie można. Nasza
polityczna reperturowa, za którą stoją
bardziej generalne zasady, nie radzi
prawa charakterystyczne dla „wolnego
rytmu” Zachodu. Ma to niewątpliwie swe
pozytywne strony, choć czasem widzowie
nasz marzą o większej elastyczności
polityki zakupów prowadzonej prze-
kolejnego dystrybutora filmowego.
On to właśnie urządził w pol-
skich kinach w ostatnim sezonie mały
festiwal jednemu z najpopularniejszych
aktorów zachodniego filmu — Clintowi
Eastwoodowi. Eastwood — aktor nie pro-
wadzący do szerszych rozważań, re-
prezentujący on jednakże zjawiska o we-
wnętrznym charakterze, że zaś zastępuje
na chwilę refleksji.

Clint Eastwood karierę swą rozpoczął
jako bohater 340-odcinkowego „krowboj-
skiego” serialu amerykańskiego „Rawhide”
w 1961 r. zaangażował go włoski reżyser
Sergio Leone do pierwszego włoskiego
westernu „Za granicą dolarów”, później zaś
do następnego, który to film okazał się
na całym świecie przełomem kasowy-
m i zapoczątkował karierę tzw. „spag-
hetti-westernów”. Do USA Eastwood po-

wrócił jako jeden z najbardziej wziętych
aktorów kinematografii zachodnich, w
1969 r. założył własną wytwórnię filmową,
a od 1971 r. sam zajmuje się również re-
żyserią. Interesują go głównie westerny
i filmy sensacyjno-przygodowe.

Polscy widzowie poznali Eastwooda
przed kilku laty jako głównego bohatera
filmu „Oszuki”, i jedną z głównych
postać filmów „Tylko dla orłów”. W rep-
ertuarze bieżącym Clint Eastwood gra aż
w trzech filmach: „Złoto dla zuchwa-
łych”, „Joe Kidd” i wreszcie „Mści-
cieli”, który to film sam także reżysero-
wał.

Anegdotycznie rzecz nieco traktując
przypomnijmy, że Eastwood bywa na
ekranie obecny i wówczas gdy go tam
nie ma. W szlaggerze wiosenno-letniego
repertuaru czyli w filmie „Charley
Varick” Dona Siegela (nababie reży-
sera trzech filmów z Eastwoodem w roli
główniej) jedna z bohaterki z zalem
konstatuje przybycie, nieproszonego
zresztą, gościa słowami: „wcale nie
myślałam, że to Clint Eastwood”. Tak
czytuje się w filmach tylko niewiele na-
zwisk — może Coopera, może Fon-
dę.

Dziś — Clint Eastwooda, może Fon-
dę. Zastawiam te nazwiska nie bez przy-
czyn. Eastwood objął bowiem panowa-
nie w tych rejonach mitologii kina, które
ongl symbolicznie należały do tamtych
anachorytów panów. Wraz z ich odej-
ciem czy powolnym odchodzeniem, zmie-

nił też się charakter rzadów. Eastwood
wnosił czy też po prostu stał się wyrazi-
cielem zupełnie nowych tendencji i innej
atmosfery kina świata westernu i sensa-
cji. Kona świata, jeśli już się nie skon-
czył, czasami określonej moralności tych
gatunków. Mówiąc bowiem o ich amo-
sferze myślę głównie o atmosferze mo-
ralnej. Dawni westernowi rycerze prawa
i sprawiedliwości, z całą ich skonwencjo-
nalizowaną swoistością i kodeksem mo-
ralnym, odeszli. Uwaga ta dotyczy, o-
czywiście, nie tylko owych wielokrotnie
powtarzanych postaci, ale i całego wy-
miar i charakter jak te, które są u-
działem świata przestępczego.

Zimny, cyniczny i okrutny Clint East-
wood jest modelem rykładem dziś na
tendencji. Reżyserowany zaś przez niego
film „Mściciel”, w którym kreuje ty-
tułową rolę, może być traktowany jako
esencjonalny dowód przemian, które do-
tyczą westernowego gatunku. Jest to
tytuł bardziej widoczny, że Eastwood —
reżyser dość beceremonialnie wykorzy-
stuje w tym filmie główne wątki kon-
fliktów, konwencje, a nawet sytuacje

kilku klasycznych westernów, jeśli wspo-
mnąć tylko „Jeźdźca znikąd” czy „W
samo południe”. Ich metamorfoza jest
jednak tak uderzająca, że podejrzewam, iż
miłośnicy tego gatunku oglądając „Mści-
ciela” z niewątpliwym zainteresowaniem
dla samego przedmiotu, odczuwać muszą
nieuchronnie niesmak.

Ogromna brutalność i okrucieństwo tego
filmu szokuje i nie dlatego, że odbiega
od prawdopodobieństwa, lecz dlatego
głównie, że istnieje ona niejako sama dla
siebie. Przecież Eastwood przedstawia
jedynie dramat, nie, co zawsze było
głównym tematem westernu. W istocie,
brutalność ta staje się celem samym w
sobie. Wszystko co w filmie tym się
dzieje, służy potęgowaniu okrucieństwa,
epatowaniu coraz silniejszymi bodźcami
emocjonalnymi. Nie ma to nic wspólnego z
funkcjonalnym społecznym i moralnie
okrucieństwem takich westernów jak
„Jesień Cheyennów”, „Był tu Willy Boy”
i „Błękitny żołnierz”. Brutalny realizm
tych filmów służył uhistoryzowaniu
westernowej legendy. Eastwood — reży-
ser i aktor reprezentuje tendencję, które
pozbawione ogólniejszych funkcji po-
znawczo-wychowawczych odwołują się do
sfery emocji i instynktu. Niektórzy
współcześni psychologowie i socjologowie
w metodzie tej widzą funkcję ich roz-
bawiania. Pogląd ten ma rówie wielu
przeciwników. Sadze, że Clint Eastwood
robi swe filmy nie myśląc ni o jednym
ni o drugim. Robi to, co ludzie kupują.

EWA NURCZYŃSKA

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

JAK W DOMU

Studencki teatr „Cytryna”, mieszczący się przy ulicy Zachodniej 81/83, ponownie rozpoczął normalną działalność. Otrzymałem zaproszenie na spektakl wystawianej tu obecnie sztuki Sławomira Mrożka „Dom na granicy” i oczywiście poszedłem. Tradycyjny teatr zastąpił jedynie w szatni. Oto grono widzów oczekujących na rozpoczęcie spektaklu, część jeszcze przychodzi, oddaje płaszcze do szatni, wszyscy nawzajem się oglądają i prowadzą rozmowy, których treści w ogólnie panującym gwarze nikt nie słyszy. W większości jest to młodzież studencka.

Wchodzimy wreszcie do sali teatralnej. Następuje tu koniec wszelkiej tradycji. Widzowie składają na przysłoniętych ciemnymi płótnami podniesieniach. Na scenie, która tutaj okazuje się zbędna, widać rzędy pochowanych tam krzesel.

Srodek sali jest pusty. W tym miejscu zasiadają w kole młodzi aktorzy. Z dużego garnka czerpią jedzenie. Ceremonia posiłku jest przejawem kłopotu. Aż spójrz domowego ogniska zakłóca dyplomaci. Przybywają, by ustalić granicę wzduż domu. Od tego momentu rozpoczyna się zwarta i niesamowita akcja, której nie

będę streszczał, bo sztuka może być znana większości Czytelnikom. Mogłoby być to nieopacznie załatwić sprawę za twórców spektaklu, co przecież jest bezsensowne. Nie dla mnie tylko stworzył teatr. Interpretacja tego co pokazali należy do każdego widza. Jej warunkiem jest stopień wrażliwości tego ostatniego. Bywają większe niż moja wrażliwość, przeto nie piszę recenzji w dosłownym znaczeniu tego słowa. Bije jedynie własne brzocho dla nowego zespołu „Cytryny”. Chwałę ich za imponujące elementy inscenizacyjne, za odwagę w grze, a nade wszystko za to, że i widzów uczynili mieszkańcami „Domu na granicy”. Za to również, iż nie bali się wyjść poza tekst sztuki, wiele do niej dodając od siebie.

Czynienie z widzów aktorów jest modne w teatrze, który ostatnio często zwiemy awangardowym. W zasadzie więc przywykliśmy do takiego „sposobu na widza”, który na tradycyjnej widowni czuje się źle lub do brzocho, co nie raz zależy od jego osobistego samopoczucia. Jednak w „Cytrynie” każdy widz jest aktorem. Nawet cichy śmiech, nawet ten w najbardziej niewłaściwym momencie wybuchający, staje się częścią

idei, która przyświeca młodym twórcom spektaklu. I za to należy się im uznanie i gratulacje. Oni odrzucili przebrzmiałe już poniekąd tradycje „Cytryny”. Warto nadmienić, że w teatrze tym, któremu patronuje Akademia Medyczna, trwa dwuletnia przerwa. Dlatego więc nowy jego zespół należy przywitać z aplauzem, ale dodajmy, że w pełni zastużonym. Jest ich osiem: Dorota Kowalska, Halina Rabenda, Anna Zajfryd, Grzegorz Zieliński, Ryszard Derewenda, Tomasz Wiercokiewicz, Tomasz Wrzesiński i Piotr Mokrosiński, który jest także kierownikiem artystycznym zespołu. Nie ma między nimi ścisłego podziału na reżysera, aktora czy scenografa. Wsólnie tworzą teatr o jakim marzyli, i na który (jestem tego pewien) czekało wielu sympatyków teatru.

Wydaje się, że pierwsza sztuka tego nowego zespołu ustaliła już profil artystyczny nowej „Cytryny”. Nie ma tu tylko odgrywania tekstu i zwiastnego pokazywania sztuki. Zarówno w grze, jak i w pomysłach inscenizacyjnych widoczne jest, że twórcy „Domu na granicy” mają własne koncepcje artystyczne i dobrze wiedzą, jakie sprawy mają do załatwienia. A to, że już na pierwszy ogień „wzieli” Mrożka i rzecz im udało się znakomicie, świadczy o tym, że dojrzałość oraz o tym, jak poważnie traktują teatr.

Tak więc „Cytryna” istnieje znów. Poszarpały jedynie jej ściany i z widowni zniknęły krzesła, o co jednak nie miejmy pretensji do nowego zespołu. Teatr, jaki nam proponują, przyjmijmy, ponieważ i my — widzowie, mamy w nim dużą szansę. Gościmy w nim przeto i czujmy się jak w domu... a dom? No cóż, kto z niego nie wychodzi na zewnątrz...

W ramach współpracy nawiązanej przez naszych specjalistów z agendą Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw dróg i komunikacji otrzymaliśmy kilkadziesiąt nowoczesnych aparatów renomowanej firmy amerykańskiej „Fischer and Porter” służących do mierzenia natężenia ruchu. Z powodzeniem zastępują one umyślnych rachmistrów ustawianych dotąd na skrzyżowaniach i moziłnie stawiających w zesztych kreski, które podliczono i w ten sposób uzyskiwano dane statystyczne, dotyczące ilości przejeżdżających samochodów...

Najwięcej, bo dziesięć aparatów otrzymała Warszawa. Do Łodzi przysłano siedem, ale jeden okazał się uszkodzony i w rezultacie mamy sześć. Wciąż nie wiadomo czy na zawsze już zostaną w naszym mieście. Postawiono bowiem warunek, że jeśli nie będą w pełni wykorzystane to wrócą do USA.

Łódzcy drogowcy od razu więc zaczęli ekspluatować aparaty rozstawiając w najbardziej nerwalicznych punktach miasta, by liczniki mogły wykazać się solidną pracą.

Firma „Fischer and Porter”

SAMO ŻYCIE

jest tak skrupulatna, że przysłała nawet łańcuchy i klódki do przytwierdzenia aparatów do latarni ulicznych by nie kusły złodziei. Dołączyła również gwóźdź do przybijania gumowych przewodów pneumatycznych do nawierzchni jezdni. Na te przewody samochody najeżdżają wywołując impulsy rejestrowane przez aparaty. Gwóźdź okazał się jednak całkiem lichy. Miał gładko wchodzić w asfalt i był jak gład. Trzeba było zastąpić papkami rodzimej produkcji. Po prostu są lepsze. Oryginalne na wszelki wypadek schowano w magazynie. Może przyjdzie się z nich rozliczać...

K.T.

EDWARD POLIAŃSKI OSZCZĘDZIMY

— Koledzy! — zwróciłem się do zebranych. — Wszystkie nasze wysiłki powinny koncentrować się dookoła maksymalnej oszczędności surowców i sił w procesie produkcji mydlanych banki! Niestety, rezerwy jakie możemy wyzyskać są niewielkie, oszczędności w ograniczeniu zbrodnego wyrobu i detali — żadne. Możemy jednak na drodze częściowego ograniczenia zbrodnego powierzchni dachy wykreślić pewne oszczędności.

— Jestem kategorycznie przeciwny — wtrącił się główny technolog — jeżeli zaczniemy odcinać niezbędne powierzchnie, to każda banka pęknie zanim dotrze do odbiorcy.

— Przedz czy później — sporałem — i tak pęknie. — Ale wskazane, aby rozciąlała się w rękach nabywcy — odcinał się szef działu zbytu — I dlatego lepiej później niż wcześniej.

— I to racja. Ale pomyślimy jak można oszczędzić gaz, dwuletni węgiel, którym napelnią się banki. Doład jednym wydechem napelnią jedną bankę, a gdyby tak na jednym wydechu puszczać dwie, a może nawet i trzy mielnicie się kule? Oszczędzilibyśmy część wydechanego gazu, a co za tym idzie i wydechanego powietrza stanowiącego nasz wkład w ochronę środowiska naturalnego!

— Za powierze nie się nie płaci, dwuletni węgiel wydycha nie bezpłatnie. Na czym więc polegać ma oszczędność? — Będziemy oszczędzać na mydle — zmodyfikowałem swój wniosek. — Ono nie wpada nam przez łutkę, konsumuje pieniądze. A my, puszczać banki, czasem lekkomyślnie polykamy część mydła. Nikt nigdy nie pofatygował się obliczyć, jaką część cennego surowca marnujemy w ten sposób. Ponadto część lekkomyślnych pracowników, wstyd powieścić, gryzie słomki, przy pomocy których powinni puszczać łańcuchy kule. Uważam więc, że byłoby daleko słuszniej wyrzucić słomkę. Sam kiedyś widziałem jak najmłodsza grupa przedszkolaków przy myciu puszczała banki nosem lub ustami.

— I trzeba wezwać inne zakłady do współzawodnictwa — rozwinął moja myśl jeden z dmuchaczy. — A może zamiast mydła toaletowego będziemy używać mydła wyprodukowanego sposobem gospodarczym? — zapalił się buchalter. — Tylko czy damy radę odpowiednio rozdać taką bankę, która stanowiłaby poważny sukces naszego zakładu?

— Już wy się nie martwiecie — uspokoiłem go. — Co jak co, ale swoje sukcesy potrafimy należyście rozmyć!

Tłumaczył: BOHDAN PIĄTKOWSKI

Opracował: B. K.

WENUS-75



Per Romdal, Dania „Growing”

POWIĘKSZENIA

DZIEJE GRZECZU

Anna Lechicka pisze w „Szpilkach” o filmie „Dzieje grzechu”. „Jeśli ktoś chciałby zgłaszać pretensje to wszakże tylko do Zeromskiego tak się bowiem wielkiemu pisarzowi napisało...” Otóż niezupełnie. Anna Lechicka trochę zapominała szkolne lektury. Wcale się tak Zeromskiemu nie napisało jak to nakreślił Borowczyk. Scenariusz bowiem znacznie zubożył powieść Zeromskiego eliminując cały szereg psychologicznych motywacji na rzecz wątku erotyczno-kryminalnego.

Pisał o tym mądrze i przekonująco Stefan Morawski na łamach „Literatury” w szkicu „Czy „Dzieje grzechu” są szmirą?”

BECZKA ŚMIECHU

Ośrodek naukowo-techniczny łódzkiego „Uniprotu” skonstruował... beczkę śmiechu, która — jak pisze „Express” — „będzie rozweselać bywalców Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu”. Rozweselać odhylać się będzie mniej więcej w ten sposób: „Beczka o średnicy odpowiadającej przeciętnemu wzrostowi człowieka składa się z trzech części. Każdą fragment obraca się wokół swojej osi. (...) Przebywający tu człowiek z trudem utrzymuje równowagę...” Rzeczywiście bomba śmiechu, gdy obywatel spragniony kultury i wypoczynku wyrzuci nosem w beczkę. Wydaje nam się, że model humoru i zabawy oparty na utracie równowagi przeszedł już do historii prowincjonalnych jarmarków z końca XIX wieku.

CO KTO POWIEDZIAŁ

„Pamiętnikarzem się nie jest — jak powiedziałby Przybysz — pamiętnikarzem się bywa” — napisał w „Życiu Literackim” Henryk Worcell. Być może Przybysz tak by właśnie rzekł, ale to nie on wypowiedział owe słynne zdanie o poecie lecz Cyprian Kamil Norwid — poeta co prawda nie „wpisany w Giełmont”, ale w polską literaturę.

TEMPO

W połowie czerwca „Dziennik Łódzki” (jeszcze wtedy nie „Popularny”) doniósł w „Informacji własnej” o nowym leku na migrenę. Nie minęły nawet trzy tygodnie, a już „Express Ilustrowany” doniósł w „Informacji własnej” o gowym leku na migrenę.

PAS CNOTY

Mieczysław Olbromski, znany kiedyś w Łodzi, a dziś reklamowany jako „młody pisarz warszawski” — mimo że dobiła (lub przekroczył) czterdziestkę, wydał książkę pt. „Pas cnoty”. Tytuł jest nam znajomy. „Pas cnoty” napisał głosny kiedyś Pitagorasz. Nie więc nie stoi na przeszkodzie, aby młody pisarz warszawski pamiętający bardzo stare książki głosnego Włocha, wydał teraz kolejno „Lukusowe zwierzątka”, „18 karatów dziełstwa” czy „Kokaleń”.



Fot. Jolanta Janiak

ZIEMIA USYCHA Z PRAGNIENIA

Borykając się z problemami, które niesie ze sobą wyjątkowo mokra w tym roku jesień, nie zawsze mamy czas zastanowić się nad bronią losu, który tysiącami ludzi w innych częściach naszego globu niesie śmierć z pragnienia. Takim właśnie miejscem są tereny na południu od Sahary.

Ogromny pas ziemi wzduż południowego obrzeża Sahary ciągnący się przez całą szerokość Afryki — od Atlantyku aż po Nil — mniej więcej pomiędzy 14 a 18 równoleżnikami dotknięty niebezpieczeństwem, którego rozmiar można porównywać chyba tylko z biblijnym potopem. Ziemia ta, wyjątkowo gorąca i wiecznie spragniona deszczem, nigdy nie była zwinno przetrwała swym mieszkańcom; teraz, po pięciu strasznych latach suszy, ponad sto tysięcy ludzi i około 20 milionów zwierząt domowych zagłodzonych zostało na śmierć — a końca klęski nie widać.

Ziemia, pozbawiona ochrony cienkiej warstwy traw i kołczastych krzewów, które wywalifo słońce, zamienia się w żalowy grunt. Ruchome wydmy niszczone na swej drodze wszelką roślinność tworzą się nawet na samych brzegach rzek. Powoli leczy nieuchronnie cały ten region zaczyna zamieniać się w pustynię. Kraje, które najbardziej dotknięte odczuwają skutki suszy to Mauritania, Senegal, Mali, Gambia, Włta, Niger i Czad.

22-milionowa ludność tych terenów dzieli się na dwie grupy: na północy mieszkają plemiona wędrownych pasterzy wielbłądów, owiec, kóz i bydła; bardziej na południu, gdzie opady deszczu bywają zwykle większe grupuje się trzy czwarte całej ludności. Jej zajęciem jest rolnictwo. Pasterze ciągle zmieniają miejsca pobytu: w czasie porę deszczowej wędrują ze stadami na północ, w czasie porę suchej wracają na południe, wypasając za

zgodą właścicieli stada na ścierniskach pól.

Od roku 1968 ilość deszczu gwałtownie się zmniejszyła. Zrozpaczeni koczownicy zaczęli masową wędrowkę ze stadami na południe w poszukiwaniu wody i paszy. Doprowadzało to do częstych konfliktów z ludnością osiadłą na tych terenach.

Zasiewy ulegały zniszczeniu z powodu braku opadów, zapasy żywności gwałtownie się skurczyły. Rządy krajów dotkniętych klęską były zbyt biedne, aby kupować żywność za granicą. W tej sytuacji trudno jest wierzyc przytoczonemu na początku listu-bom mówiacym o liczbie ofiar suszy i wynikłego stał głodu, gdyż ocenia się, że w samej tylko Etiopii zginęło 100 000 ludzi zanim władze tego kraju zdecydowały się zaapelować o pomoc międzynarodową. W odpowiedzi na takie apele rządy wielu krajów zadeklarowały pomoc. W ubiegłym roku do rejonów dotkniętych klęską dostarczono 625 000 ton zboża. Jednakże okazało się, że dostarczanie żywności do miejsc najbardziej potrzebujących jest niezwykle utrudnione ze względu na brak dróg. Mauritania posiada mniej niż 2000 kilometrów dróg bitych a tylko Mali i Gambia Włta posiadają połączenia kolejowe z portami morskimi. Nie dziwnego więc, że dziesiątki tysięcy ludzi zmarło w drodze do punktów wydawania żywności. Gdyby nie zorganizowano międzynarodowego mostu lotniczego dla dowozu żywności, liczba ofiar byłaby zapewne większa.

Ocenia się, że w tym roku potrzeba będzie około miliona ton zboża, aby ludzie mogli dożyć jesieni. Jeśli w ogóle będzie co zbierać...

Zarówno rządy krajów dotkniętych klęską jak też i sama ludność mało zdają sobie sprawę z faktu, iż obecny stan rzeczy jest przynajmniej częściowo zawino-

ny przez nich samych. Rzeczą zwykłą na tych terenach jest wzniesienie pożarów buszu dla wypłoszenia jadalnych szczurów pustynnych. Na skutek tych pożarów następuje zubożenie górnych warstw gleby. Innym zwyczajem jest obcinanie gałęzi akacji czy też ścinanie całych drzew na opał. A przecież akacja stanowi doskonałą ochronę przed wiatrem, jej liście używają glebę a korzenie wiążą ją i utrzymują w niej wodę.

Jak na ironię, pod piaskami znajdują się ogromne zasoby wody. Rządy wielu krajów, uważając, że woda ta będzie lekarstwem na wszystkie kłopoty, zaczęły instalować urządzenia pompujące wodę. Obecnie tysiące takich instalacji rozproszonych jest po całym tym regionie. Mając doświadczenie z dawnych lat koczownicy zapomnieli o ograniczonej ilości paszy. Skutek był taki, że coraz liczniejsze stada, zbierając się przy pompowniach wody, trafiały wszelaką pośliną na wiele mil wokół. W ten sposób każda pomownia stawała się centrum własnej małej pustyni. Często było tak że było napóćne u wodopoju nie mogło o własnych siłach dojść do pastwisk i po drodze padało, nie z pragnienia lecz z głodu.

W tej sytuacji wydaje się, że dostawy żywności z zewnątrz muszą być traktowane jedynie jako bardzo doraźna pomoc. Rozsądna rzeczka będzie wyprzedzanie koczowników, aby ograniczili liczebność swoich stad i dostosowali je do ilości dostępnej paszy. Ponadto finansowa pomoc innych państw winna być uzależniona od opracowania planu zagospodarowywania terenu, kontroli nad gospodarką wodną oraz planu zalesiania i produkcji paszy.